

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

28 listopada 1937

WARSZAWA

24 kislew 5698

CALAMUS

MORAL INSANITY

Nie bez powodu poświęcamy tym razem nasze rozważania tygodniowe wyjątkowo sprawie incydentalnej, bo zatargowi, spowodowanemu zarządzeniem getta ławkowego, i to na jednej tylko uczelni. Sprawa dotyczy jednego tylko gmachu w Warszawie, przy ul. Mokotowskiej 6., ale nosi w sobie niebezpieczeństwo precedensu, a zarazem stanowi smutny sprawdzian poziomu moralności publicznej w Polsce.

Getto ławkowe na wszechnicach polskich zaliczyć należy raczej do klęsk, aniżeli do sukcesów akcji antysemickiej w kraju. Parszywy ten pomysł zrodzony w sztabie polskiej agentury hitlerizmu, kryjącej się pod szyldem nacjonalistycznego radykalizmu, oburzyć już musiał także szersze koła intelektualistów polskich obojętnych dotychczas na żydowskie krzywdy, wywołał żywy odruch przeciw antysemityzmowi w masach studenterii polskiej (przykład: plebiscyt lwowski), skompromitował i osłabił szermierzy idei „odżydzenia” Polski. A protest szeregu uczonych francuskich, wśród których znajdują się córka i zięć Wielkiej Polki, Curie-Skłodowskiej, także szczególnego zaszczytu Rzeczypospolitej nie przynosi. Ambicja — zły doradca — p. p. rektorów nie pozwala im cofnąć feralnego zarządzenia, zwłaszcza że ich tchórzostwo wobec terroru oenerów jeszcze nie minęło, snąc stanowi stały przykład ich imponujących charakterów. Ale wykonane zarządzenie też nie zostało: żydowscy studenci nie wykonują go, uważając je za bezprawne. Nie zajmują miejsc oznaczonych literą „W”, nie kwapią się do miejsc zaszczyconych szlachetniejszą rasowo literą „B”, lecz — stoją, stoją gdziekolwiek się da. Rektorzy, ile że charaktery imponujące, chcą mieć „święty spokój” i gotowi są tę sytuację uznać za idealną. W jednej jedynie tylko uczelni w Polsce dyrekcja chce zmusić młodzież żydowską do siedzenia na „żydowskich” ławkach, grożąc jej relegacją i szantażując doradczym zakazem wpuszczania jej na teren szkoły. Zakładem zaś naukowym, który się tak wyróżnił gorliwością i skrupulatnością, jest mianowicie — ironio losu! — „Szkoła im. H. Wawelberga i S. Rotwanda”.

Delegacja studentów-Żydów tej Szkoły złożyła w dniu 19. b. m. oświadczenie Komisji Rady Szkolnej, że nawet pod groźbą relegacji na miejscach oddzielonych siadać nie będą, powołując się na to, że zarządzenie Dyrekcji jest sprzeczne z Konstytucją i — co w danym wypadku jest praktycznie ważniejsze — z umową między Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. a p. Michałem Wawelbergiem, kuratorem Szkoły z ramienia rodziny Fundatorów, który zastrzegł w akcie darowizny warunek równego traktowania uczniów bez różnicy wyznania i narodowości.

„Ster” był pierwszym pismem, które (w rubryce dla młodzieży) przypomniało opinii publicznej o tej umowie. Później ogłosił ob. Wacław Rogowicz dwa dokumenty w „Dzienniku Ludowym”, potwierdzające w całej pełni naszą tezę, że zarządzenie ławkowe jest na tej właśnie uczelni wyjątkowo bezprawne. Obecnie jesteśmy w posiadaniu odpisów dalszych czterech dokumentów świadczących, że zarówno Ministerstwo, jak i Dyrekcja Szkoły zdawały sobie do niedawna sprawę z mocy obowiązującej owej klauzuli o nie czynieniu różnic między studentami. Dokumenty te poniżej przytaczamy.

Dokument pierwszy: list M. W. R. i O. P. z dn. 5-go lipca 1925 r. za Nr. 10853/25 III „Do Pana Michała Wawelberga”, wyjaśniający, że uprawnienia dane Bratniej Pomocy nie krzywdzą słuchaczy żydowskich:

„Organizacja Bratniej Pomocy, według zatwierdzonego przez Ministerstwo statutu, jest organizacją ogólną dla wszystkich słuchaczy.”

Dokument drugi: list M. W. R. i O. P. „Do Pana Michała Wawelberga” z dn. 12-go czerwca 1929 r. za Nr. III T. R. 2475/29, w którym czytamy, że Dyrekcja Szkoły

„została zwrócona uwaga na bezwarunkową konieczność jednakowego traktowania wszystkich słuchaczy Szkoły bez różnicy wyznania.”

Dokument trzeci: znów list Ministerstwa W. R. i O. P. „Do Pana Michała Wawelberga” z dn. 22-go kwietnia 1932 r., którego treść dosłowna brzmi:

„W odpowiedzi na memoriał Pana w sprawie stosunków, jakie wytworzyły się w Szkole imienia Jego Ojca bl. p. Hipolita Wawelberga (Państwowa Wyższa Szkoła Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie) Ministerstwo komunikuje, że zastosuje wszelkie możliwe środki, ku zapewnieniu poprawnego współżycia słuchaczy różnych narodowości, co z resztą zawsze leżało w intencjach Ministerstwa w stosunku do wszystkich szkół Rzeczypospolitej Polskiej.

p. o. Naczelnika Wydziału
(—) G. Hensel”

Dokument czwarty: Deklaracja Dyrektora Szkoły, wywieszona na tablicy ogłoszeń z datą 20-go maja 1932 r.:

„Trwające od jesieni r. b. szkolnego aż do ostatniej niemal chwili zajęcia na terenie Szkoły wskazują, że stosunki wzajemne słuchaczy chrześcijan i żydów stały się wręcz niedopuszczalne.

Umowa Ministerstwa W. R. i O. P. z sukcesorami b. p. Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda na prawo bezpłatnego użytkowania budynków szkolnych i pomocy naukowych zabezpiecza jednakowe traktowanie słuchaczy wszystkich narodowości bez różnicy wyznania. Konstytucja Rzeczypospolitej, uchwalona w kilka lat później, zagwarantowała jednakową opiekę dla wszystkich obywateli na całym terenie Państwa Polskiego.

Wobec powyższego wszelkie zajęcia antyżydowskie na terenie Szkoły czy to indywidualne, czy zbiorowe, jako niezgodne z obowiązującymi przepisami będą surowo karane z całą stanowczością.

Dyrektor Szkoły:
(—) S. Zakrzewski”

Jeszcze w maju 1932 r. Dyrektor Szkoły podniósł obowiązek „jednakowego traktowania słuchaczy wszystkich narodowości bez różnicy wyznania”, powołując się na Konstytucję i na umowę Ministerstwa z sukcesorami Fundatorów. Gdy dziś, w pięć lat po przytoczonej Deklaracji, słuchacze-Żydzi wysuwają postulat „jednakowego traktowania”, żądając zniesienia podziału ławek, i powołując się na te same postanowienia Konstytucji oraz umowy, — ta sama Dyrekcja grozi im wydaleniem ze Szkoły!

Ale nie formalna i prawna strona sprawy jest tu najważniejsza. I nie los kilkudziesięciu słuchaczy-Żydów (numerus clausus jest, a jakże!), którym grozi wprawdzie relegacja, ale za którymi stoi zwartym murem całe społeczeństwo żydowskie, gotowe do ich obrony i pomocy w każdym położeniu. — stanowi sedno sprawy. Nie upatrujemy także punktu ciężkości zagadnienia w niebezpiecznym precedensie wydalenia żydowskich studentów za bojkot getta uczelnianego. Istotą konfliktu znajdziemy dopiero w jego ocenie moralnej.

Dwaj mecenasi założyli wzorową szkołę techniczną, kierowani pobudkami natury wyłącznie społecznej; przedstawiciel ich sukcesorów zaoferował gmach i urządzenia szkolne Państwu Polskiemu, nie żądając żadnej zapłaty, a tylko jednego jedynego ekwiwalentu moralnego. Fundatorzy byli Żydami, i on (Kurator) także jest Żydem, więc chciał zabezpieczyć równość żydowskich słuchaczy przynajmniej w tej jednej uczelni. Rząd Polski warunek ten po długich rokowaniach zatwierdził i Szkołę przejął. Dziś Dyrekcja tej ży-

dowskiej „z pochodzenia” szkoły stosuje wobec Żydów „normę procentową”, a dla łaskawie przyjętych Żydów wyznacza jak dla trędowatych oddzielne miejsca, za odmowę zaś wejścia do getta grozi żydowskim słuchaczom wydaleniem ze szkoły „im. H. Wawelberga i S. Rotwanda”...

Jak zakwalifikować tę moralność szczytów społeczeństwa, bo uczonych przecież, profesorów? Jak nazwać ową aberację moralną, która nauczycielom szkoły wyższej odbiera uczucie wstydu i nie pozwala odczuwać, że ich postępowanie klóci się już nie tylko z poczuciem prawa i z sumieniem, ale i z dobrym smakiem, z elementarnym taktem, z najwykleszą w świecie przyzwoitością?

I czyja to jest tragedia? Nasza, poszkodowanych, czy raczej ich, raczej tego środowiska, które wydaje takich profesorów, takich wychowawców i przewodników?

GEORG BERNHARD

Co będzie dalej?

(po podróży Halifaxa)

Trzy godziny trwała rozmowa lorda Halifaxa z Adolfem Hitlerem. Nie jest to nawet dużo, skoro weźmiemy pod uwagę trud dalekiej podróży i konieczności tłumaczenia rozmowy. Byłoby jednak błędem bagatelizować to spotkanie spowodu względnej krótkotrwałości. Na przestrzeni czasu 3 razy po 60 minut, uwzględniając nawet czas stracony na powitania, pożegnania i rozmowę przy stole, można powiedzieć bardzo wiele mądrego i nie mniej głupiego. I jedno i drugie miało jednak w tym wypadku wielkie znaczenie. Albowiem od ogólnego wrażenia, z którym Anglik powrócił do domu, zależy może stanowisko gabinetu brytyjskiego przy ocenie i kształtowaniu światowych czynników politycznych.

Berlińskie koła polityczne prześcigają wydarzenia, sądząc, że podróż ministra von Neuratha do Londynu jest już sprawą przesądzoną i, że po niej premier angielski, Neville Chamberlain, uda się do Niemiec. Jedno wszakże jest pewne: jeśli po podróży lorda Halifaxa nastąpią inne podróże angielskie w różnych kierunkach, to będzie to czynnikiem pozytywnym.

W ogóle nie należy się łudzić, że w całej tej sprawie chodzi o akcję, do której ze strony angielskiej mianoby przywiązywać największe znaczenie. Przede wszystkim dlatego, że rząd angielski — może po raz ostatni — pragnął tylko poczynić próbę ścisłego stwierdzenia, jak mają się sprawy z Trzecią Rzeszą. Rząd angielski chciał się dowiedzieć, jakimi koncepcjami można okupić poparcie Rzeszy dla angielsko-francuskiej polityki kolonialnej. Przytem Anglicy bynajmniej nie spodziewają się akcesu polityki niemieckiej do frontu francusko-anglo-saskiego; zadowolnią się oni biernym zachowaniem się Rzeszy. Trzeba bowiem zawsze mieć przed oczyma okoliczność, że Anglia i całe Imperium Brytyjskie znajdują się w obliczu konieczności powzięcia decyzji, w jaki sposób i czy w ogóle w najbliższym czasie ma dojść do porachunku z Mussolinim. W nim osobiście (nie w narodzie włoskim) widzi Anglia swego głównego wroga, tym więcej, że w Londynie posiada się bardzo dobre informacje o tym, co wódz włoskiego faszyzmu wygaduje w swej nieograniczonej nienawiści do Anglii. Głównym celem podróży lorda Halifaxa — chociaż, naturalnie, o tym się głośno nie mówi — jest osłabienie osi Berlin-Rzym, wybadanie jej słabych punktów i oszacowanie możliwości jej przełamania.

Stało się już publiczną tajemnicą, że tak szumnie i wspaniale zainscenizowane spotkanie dwóch dyktatorów nie doprowadziło w Berlinie do tego rezultatu, na którym zresztą w większym stopniu zależało Rzymowi. Mimo niebываłego natężenia propagandy nie udało się wywołać entuzjaz-

Treść numeru:

CALAMUS — Moral insanity.
DR. MAYER EBNER — Drugi rząd p. Tatarescu z punktu widzenia żyd.
GEORG BERNHARD — Po podróży Halifaxa.
INZ. A. GLIZER — Zamachy, sądy i ustawy
LEOPOLD HALPERN — Od Alfonsa do Azanii.
J. MAJUS — Postępy narodowego ruchu arabskiego.
S. AUFHAUSER — Czy roszczenia kolonialne Hitlera są słuszne?
BERNARD MENNE — Neurath czy Ribbentrop?
H. LINDE — Wzrost przestępczości w Niemczech.
J. BLEIBERG — O busole działania.
RUSTAN — Budujmy żydowskie szkoły średnie.
MAURYCY SZYMEL — Książka na prowincji.
LEOPOLD GAJZLER — Ferdynand.
B. LEWITOWNA — Zbigniew Unilowski.

STER MŁODYCH

Dr. MAYER EBNER

Drugi rząd p. Tatarescu z punktu widzenia żydowskiego

Zagadka nowego rządu rumuńskiego została już rozwiązana. Premier Tatarescu, po zgłoszeniu dymisji został ponownie powołany przez Koronę do utworzenia gabinetu. Na liście nowego rządu znaleźli się dwaj jorgiści, ale poza tym: sami dawni ministrowie. Partia liberalna pozostała więc przy władzy. Obecnie parlament ulegnie rozwiązaniu, a nowe wybory odbędą się w drugiej połowie grudnia. Rozstrząsa się jeszcze kwestię, czy obecny parlament ma nadać przyszłemu parlamentowi charakter konstytucyjny, która zmieni konstytucję. W tym wypadku wybory odbyłyby się o miesiąc później.

*

Każdy, kto umie patrzeć, musiał przewidzieć takie rozwiązania kryzysu rządowego. Wprawdzie zgodnie z parla-

mentarnymi zwyczajami, do władzy powinna była dojść druga wielka partia rumuńska: narodowi zaraniści (partia chłopska). Powierzono jej też misję utworzenia gabinetu, ale na warunkach, których partia chłopska nie chciała albo nie mogła zaakceptować. Naczelny warunek brzmiał: współpraca z partią narodowo - zaraniistycznym secesjonistą, Aleksandra Vaida - Voevod. Odrzucenie tego warunku przez partię chłopską jest zrozumiałe. Leader stronnictwa chłopskiego, Mihalache, uzasadnił ten punkt widzenia. Nie antysemnieszcoiowa zasada „numerus valachicus”, propagowana przez p. Vaida-Voevod, była przyczyną odmowy, ale raczej osobisty punkt widzenia, oparty na prawdzie, godności i odpowiedzialności.

Wydać się na nam, że czynnik konstytucyjny, wysuwając warunek przyjęcia dwóch członków antysemickiej partii prof. Jorgi, do rządu partii narodowo - zaraniistycznej, okrzykanej, jako lewicowa, pragnął nadać jej umiarkowanie prawicowy charakter, celem uczynienia ją zdolną do rządzenia zgodnie z duchem czasu. Natomiast wyraźnie prawicowa partia „liberalna” nie potrzebowała nawet, takiej domieszki. Przyjęcie jednak do gabinetu dwóch jorgistów wzmościło tylko pozycję partii liberalnej, jako stronnictwa prawicowego.

Miarodajna dla Korony była także okoliczność, że ustępująca partia liberalna lepiej gospodarowała od swych poprzedników, że kraj przeszedł pod jej rządami przez okres wysokiej koniunktury gospodarczej. Wyrównany budżet, w wysokim stopniu aktywny bilans handlowy, uzbrojona armia i dobrze prowadzona polityka zagraniczna — te tak liczne sukcesy ułatwiły Koronie powzięcie decyzji.

Zrozumiałe natomiast jest rozgoryczenie wśród stronnictwa chłopskiego, partii wybitnie demokratycznej. Wpłyne też ono na rozmiętnienie w czasie walki wyborczej. Znajdujemy się więc w przededniu ostrej rozgrywki wyborczej.

*

Na tle wyżej scharakteryzowanej sytuacji kurs rządu w stosunku do Żydów prawie, że się nie zmienił. Drobne zmiany będą na naszą niekorzyść. Wskazuje na to wejście do gabinetu dwóch antysemitów - jorgistów. Jak wiadomo, przed kilkoma miesiącami prof. Jorga poczynił ostry zwrot w kierunku krańcowo prawicowym. Ponieważ zaś należy on do ludzi, którzy namiętnie propagują zarówno dodatnie, jak i ujemne poglądy swoje, jego antyżydowskie enuncjacje przekroczyły wszelką miarę. Artykuły Jorgi w „Neamul Romanesc” współzawodniczą z antysemickim „Porunca Vremii”. Może jednak wejście zwolenników Jorgi do gabinetu podryknie mu większy umiar bodaj w tonie, jeśli nie w samych poglądach.

*

Tak oto żydostwo rumuńskie staje w obliczu konieczności zajęcia stanowiska wobec zbliżających się wyborów parlamentarnych. Jesteśmy świadomi trudności i odpowiedzialności tego zadania. Żydostwo rumuńskie, mimo, że jest ze wszystkich stron atakowane, nie stanowi jednolitego politycznie ciała, a pomiędzy poszczególnymi światopoglądami wykopana jest głęboka przepaść. Nigdy wszakże jedność nie była w równym stopniu konieczna, jak dziś. Na obszarze regatu Unia Żydów Rumuńskich (UER — asymilatorzy) konkuruje z Żydowską Partią Państwową (syjonistą). Obie partie zawarły ze sobą kompromis i wyłoniły wspólną reprezentację na pewien ograniczony okres czasu. Okres ten ostatnio upłynął, a porozumienie nie zostało dotąd odnowione. Mimo to nici porozumienia nie zostały zerwane a przy nadchodzących wyborach okaże się, czy możliwa jest jeszcze jedność na zasadach prawdy, godności i odpowiedzialności.

Cernauti, w listopadzie 1937 r.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Po demonstracji propalestyńskiej żydostwa polskiego

Odbyta ubiegłej niedzieli Konferencja Palestyńska Żydostwa Polskiego przebiegała wszelkie oczekiwania pod względem niebywałej liczebności delegatów, różnorodności reprezentowanych przez nich środowisk, oraz potężnego oddźwięku, który wywołała.

Niezapomniane będą wrażenia, pozostawione na uczestnikach przez niedzielną demonstrację. Silnie wypadła demonstracja jedności społeczeństwa żydowskiego w obliczu wspólnych zadań narodowych w Palestynie. Na trybunie prezydenckiej siedzieli obok siebie przywódcy robotniczy i ortodoksyjni rabin, reprezentanci wszystkich partii syjonistycznych oraz licznych organizacji społecznych i związków zawodowych. Koło trybuny powiewała sztandarów, w którym mienili się barwy błękitno-białe i czerwone. Społeczność żydowska w Palestynie była reprezentowana — obok swego najwyższego dostojnika, Prezydenta Rady Narodowej (Waad Leumi) Iechaka Ben-Cwi — przez przywódców obu skrzydłowych odłamów Josefa Szprincaka i rabina Meira Berlina.

W obliczu tej wymownej demonstracji jedności narodowej twórczych elementów żydostwa polskiego, walczącego o Żydowską Palestynę, obdarzeni moralnym kapitałem historycznych osiągnięć syjonizmu politycznego, dokonanych na przestrzeni 40 lat istnienia, obaj przedstawiciele skrzydłowych odłamów „Jiszuwu” mieli pełne prawo skrytykowania metodą porównawczą bezpodstępnej opozycji dwóch galutowych stronnictw anty-syjonistycznych: „Agudy” i „Bundu”.

Ale naczelne zadanie niedzielnej demonstracji spoczywało w płaszczyźnie twórczej — miała ona udzielić odpowiedzi na ciężką sytuację, w której znalazła się obecnie społeczność żydowska w Palestynie. Odpowiedzią tą nie mogło być płytkie, bezmyślne i niemoralne propagowanie zemsty na Arabach. Taka odpowiedź byłaby może najłatwiejsza, ale zarazem dla dzieła naszego najbardziej szkodliwa. Zasadą Konferencji Palestyńskiej było udzielenie nierównie trudniejszej odpowiedzi pozytywnych czynów: proklamowanie czynnej pomocy żydostwu polskiemu dla żydostwa palestyńskiego, walczącego heroicznym o naszą wspólną Ojczyznę, o naszą wspólną przyszłość narodową.

Odpowiedź ta została uroczystie proklamowana przez niedzielną konferencję. Ale już w poniedziałek, wtorek i środę, które po tej niedzielnej nastąpią, jak również po tym w ciągu długich tygodni nadchodzącej zimy, żydostwo polskie musi przejść od deklarowania obietnic do ich wypełniania, od proklamacji do czynów, od barwnych, efektownych demonstracji do szarego i nie raz ciężkiego składania ofiar w imię urzeczywistnienia naszej największej, naszej jedynej nadziei narodowej.

To będzie najgodniejszą odpowiedzią żydowską na krwawy terror arabski!

„Krwawa niedziela” w Jerozolimie

Nie było godną i nie było żydowską odpowiedzią, to co wydarzyło się w Jerozolimie owej smutnej niedzieli 14 listopada. Jesteśmy narodem, który na długiej przestrzeni wieków zbyt wiele doświadczył po barbarzyńskiej zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, abyśmy nie mieli jak stosować nawet w chwilach, kiedy pod wrażeniem ofiar niewinnie padłych, dążenie do odwetu byłoby psychologicznie zrozumiałe.

Zasada „li awa ga” (samoopanowania), obowiązująca społeczność żydowską w Palestynie od krwawych dni lata 1936 r., nie oznacza bynajmniej bierności w stosunku do terrorystów arabskich. Wręcz przeciwnie! „Jiszuw” wypowiedział im walkę na śmierć oraz na życie — i walkę tę toczy z bronią w ręku. Przez walkę tę rozumiemy czynne przeciwstawianie się wszelkim aktom agresji terrorystycznych elementów arabskich na życie, mienie i pracę społeczności żydowskiej. Natomiast z całą stanowczością odrzucamy i jak najmocniej potępiamy akty odwetu, któreby miały być stosowane w myśl anty-moralnej zasady odpowiedzialności zbiorowej, w stosunku do niewinnych i przypadkowo wybranych Arabów, wobec spokojnych przeciwników arabskich w żydowskich miastach, osiedlach i dzielnicach, pasażerów arabskich autobusów i t. p.

Takie wybryki nieodpowiedzialnych i politycznie bezmyślnych elementów nie mają nic wspólnego ze zbrojną walką, którą „Jiszuw” prowadzi z arabskim terroryzmem. Więcej: takie wybryki osłabiają tylko naszą pozycję w tej walce. Albowiem naczelnym warunkiem powodzenia naszej walki przeciw arabskiemu terrorowi jest

uzbrojenie „Jiszuwu”, rząd zaś nigdy nie dopuści do tego uzbrojenia, jeśli broń żydowska skieruje się przeciw spokojnym i przypadkowym przechodniom arabskim; rząd raczej przejdzie do stosowania prawnych represji wobec Żydów (mieliśmy już bolesne i upokarzające przykłady tego po jerozolimskiej „krwawej niedzieli”) oraz do rozbijania „Jiszuwu”.

Jeśli nakazy moralności żydowskiej ich nie obowiązują, to niech bodaj o tym wiedzą i pamiętają siewcy analfabetyzmu politycznego i anarchii w Jerozolimie, w Warszawie i gdziekolwiek się znajdują.

Polityczny analfabetyzm i anarchia

Polityczny analfabetyzm i anarchia dochodzą do głosu nie tylko w Jerozolimie i w Warszawie — ale w licznych skupieniach świata żydowskiego. Przypominają się nam smutne dni rewizjonistycznych orgii w latach 1931 — 1933, które ustąpiły w latach następnych wraz z bankructwem tego awanturniczego i bezpłodnego odłamu. W obawie przed pograżeniem się w otchłań zapomnienia, rewizjoniści starają się przypominąć światu żydowskiemu, wracając do stosowania swych haniebnie osławionych metod. Nasz bratni organ w Pradze Czeskiej, tygodnik „Selbstwehr”, podaje na ten temat garść ciekawych informacji.

„Dla niej (dla publicystyki rewizjonistycznej) nie istnieje problem arabski, nie istnieje polityka orientalna, nie istnieje strefy niebezpieczeństwa i rywalizacji na Morzu Śródziemnym, nie istnieje kryzys polityki światowej, nie istnieje nie — wszystko bowiem idzie na karb WEIZMANN, albo w innej skali, na karb lokalnych przywódców syjonistycznych. Na nich rzuca się grad obelg i pogroźek, właśnie w chwili, kiedy stoją w ogniu najcięższej wal-

ki żydowskiego ruchu wyzwolenie — go, która nam kiedykolwiek była narzucona.

Niech społeczeństwo żydowskie dowie się, jakiego rodzaju są te pogroźki. Nie należy spodziewać się szczególnych skutków po każdym słowie, które ukaże się w rewizjonistycznym piśmie; niektóre z tych groźnych gestów noszą wyraźne piętno nieprzeżyłanej lekomyślności albo pustej mianii wielkości. Nie należy wskazać całkowicie wykluczać możliwości, że mogą one być także wzięte poważnie. Pogroźki te są niemal dosłownym naśladownictwem frazeologii politycznego mordu skrytobójczego w Europie powojennej.

Kiedy przewodniczący Zjednoczenia Syjonistycznego w Niemczech, dr. Zygfryd Moses przesiedlił się do Palestyny, organ rewizjonistów w Niemczech pisał (sierpień 1937).

„Naród żydowski będzie któregoś dnia wolny i wtedy porachuje się z tym rycerzem sztyletu. Od najdawniejszych czasów jest tylko jedna kara za zdradę stanu”.

Język ten jest bardziej niż wyraźny. Weizmanna od szeregu miesięcy systematycznie tytułuje się w prasie rewizjonistycznej „zdrajcą - prezydentem”. „Medina Iwrit” (Nr. 39 z października 1937 r.) grozi mu takim samym „losem” jak dr. Mosesowi: „Jest prawdziwym szczęściem Weizmanna, że los był dlań łaskawy, pozwalając mu prowadzić jego politykę w żydostwie i, że nie urodził się on synem narodu o normalnym poczuciu prawnym i zdrowym odczuwaniu...”

„drugi atak pozytywnego syjonizmu jest skierowany przeciw prezydentowi myślimy dziur, przeciw publicznemu urogowi ludu Nr. 1, profesorowi Chaimowi Weizmannowi”.

lnż. A. Glizer

Zamachy, sądy i ustawy

(Korespondencja własna „Steru” z Palestyny)

Przewidywania o koncentracji terroru arabskiego w okolicach Jerozolimy sprawdziły się niestety w zupełności. Święte Miasto, Miasto Pokoju, stolica kraju stała się widownią nieprzerwanym rozgrywek terrorystycznych. Potworny mord pięciu robotników żydowskich pod Kiri'at Anawim był szczytem tej fali, ale to, co 14 b. m. miało miejsce w samej Jerozolimie, już nie w zaułkach Starego Miasta, ale na ruchliwych ulicach Nowego, nie ma sobie równego nawet w tak doświadczonej Palestynie. Może był podobny nieco nastrojów na pograniczu Jaffy i Tel-Avivu w pierwszych dniach rozruchów zeszłorocznych, zanim nastąpiła separacja obu tych miast, ale to daleko nie to samo. Poza tym nie było dotąd nigdy w Palestynie nastrojów wojny domowej. Były zamachy, ale nie było wojny wszystkich przeciw wszystkim. Ten obraz Jerozolimy miał właśnie w sobie coś z tego ostatniego. Tłumy wypełniające ulice, wzajemne obrzucanie się kamieniami, strzelanina — oto sceny, których pomimo wszystko nie widzieliśmy jeszcze dotąd w kraju. Szczere wysiłki kierownictwa arabskiego i jego sympatyków z pośród administracji by nadać wydarzeniom w Palestynie charakteru wojny domowej zawiodły w zeszłym roku i zawodziły dotąd zawsze z powodu przemysłowego stanowiska Żydów. Dziś, właśnie w chwili gdy gwiazda terrorystów zachodzi, udało im się to po raz pierwszy. Ci z Żydów, którzy im w tym dopomogli, powinni być z tego punktu widzenia spojrzeć na swe czyny. Jest jeden tylko czynnik w Palestynie, któremu może zależeć na rodmuchiowaniu rozmiarów rozruchów, na wciągnięciu tłumów w akcję, na wyolbrzymieniu znaczenia wydarzeń i zatarciu ich istotnego charakteru. Tym czynnikiem może być tylko byle kierownictwo arabskie, którego nikt nie posądza o to, że nie ma do swej dyspozycji pewnej liczby „fachowców”, którzy są w stanie organizować zamachy z zasadzki, ale którego największą kompromitacją był fakt, że nie udało mu się odpowiedzieć na kroki rządu niczym ponad to.

Bo gwiazda terrorystów zachodzi — to fakt, i nie Żydów jest rzeczą pomagać im w zacieraniu go. Rząd wszedł na drogę likwidacji terroryzmu i idzie nią dotąd konsekwentnie. Nie naszą jest rzeczą przeszkadzać mu, względnie ułatwiać mu zwększowanie na inne tory. Nie zapominajmy, że nie bez oporu weszła Anglia na tę drogę i że jeszcze wciąż u-

waża za wskazane trzymać się swej sławnej zasady „równowagi”. Jeśli nie łatwo jest utrzymywać „równowagę” między napastnikiem i napadniętym, co łatwiejszego, jak być „sprawiedliwym trzecim” wobec dwóch bijących się?

W dniu, w którym ogłoszono komunikat urzędowy o wprowadzeniu sądów wojskowych w Palestynie, ukazał się też komunikat o nadaniu mocy nowej ustawie imigracyjnej. Ten drugi poprzedzał nawet pierwszy w radio i w prasie. Znowu, i mocniej, owo podkreślenie, że porządek i polityka to dwie różne rzeczy, podkreślenie, które było nutą przewodnią wszystkich półurzędowych komentarzy do decyzji rządu o rozwiązaniu Komitetu Arabskiego („kroki, podjęte na skutek pogłoszenia się terroryzmu, nie mają nic wspólnego ze stanowiskiem politycznym rządu”, pisał t. zw. korespondent dyplomatyczny pism angielskich). Rząd zwalcza terror, rozwiązał jego jawną centralę, osunął jedno z głównych źródeł jego siły („Wakf”), reaguje na przestępstwa, ima się wreszcie drastycznego środka pod postacią sądów wojskowych, którym przekazał wszystkie sprawy, związane z terrorem i sabotażem. Lecz równocześnie nie zaniedbywa zapowiedzianych ograniczeń wobec Żydów.

Ostateczny tekst nowej ustawy imigracyjnej nie jest identyczny z uprzednio ogłoszonym projektem. Znikły dwa punkty, które wywoływały najostrejsze protesty żydowskie. Znikło upoważnienie Wysokiego Komisarza do ustalania, „jaka część imigrantów będzie mogła być rasy żydowskiej”. Paragraf ten, nieszczerliwie sformułowany („rasa”, chociaż po angielsku ma to słowo inne zabarwienie, niż np. po polsku), miał w ogóle nieprzejmny posmak jak gdyby dyskryminacji Żydów. Rząd wycofał ten przepis. Ważniejsza jest druga zmiana. Do ustawy, która pierwotnie miała mieć nieograniczoną ważność, wprowadzono wyraźny termin: do 31-go marca 1938 r. W ten sposób rząd cofnął się przed zarzutem, że pragnie wprowadzić na stałe

Jeszcze dobitniej grozi Weizmannowi to samo pismo w Nr. 34 z 4 września 1937 r., nazywając go tylko „pseudo-żydowskim Anglikiem Weizmannem”, albo „pseudo-żydem Weizmannem”.

„Jego państwo, którego prezydentem i katem ma zostać, przedstawia na mapie interesujący obraz w kształcie pokrajanego kawału mięsa. Kiedy w r. 5698 ten kawał będzie przecięty, nie w ostatnim rządzie zależeć będzie od Ciebie, Mój Bracie: Syjon albo wrody Syjonowi zwolennicy państwa żydowskiego”.

Poto zaś, aby „Mój Brat” ani przez chwilę nie miał wątpliwości, czy wszystko to ma brać za dobrą monetę, „Medina Iwrit” (Nr. 40 z 22 października 1937) konkretyzuje:

„Podczas gdy młodzież arabska pokazuje nam, jak reagować ma normalny naród...”

Młodzież arabska, stanowiąca główne kadry tych band, które na przestrzeni dwulecia mają na swoim sumieniu kilkadziesiąt niewinnych ofiar, mordująca siostry miłosierdzia i dzieci, paląca lasy, niszcząca zbiory, wymuszająca pieniądze, rozwijająca krwawy terror we własnym obozie i mordująca systematycznie wszystkich jej niewygodnych, przywódców arabskich, ma być wzorem!”

Oto źródła politycznego analfabetyzmu i anarchii. Społeczeństwo żydowskie musi źródła te zlikwidować, a zarodki próbującej się odrodzić politycznej choroby — jak najszybciej stłumić.

Lejwik za Żydowską Palestyną

Bożyszczem „Bundu” był poeta żydowski H. Lejwik, zdeklarowany idyszysta i

sojalista. Lejwik przebywał ostatnio przez kilka tygodni w Palestynie. Przed opuszczeniem kraju na pokładzie statku „Providence” udzielił wywiadu jednemu z przedstawicieli prasy hebrajskiej. To co powiedział, może być dla „Bundu” najlepszą odpowiedzią na jego anty-syjonistyczne, anty-palestyńskie i anty-hebraistyczne doktrynerstwo, do tego odpowiedzią, padłą z ust dla „Bundu” chyba miarodajnych. H. Lejwik powiedział m. i.:

— Od dłuższego czasu już pragnęłam zwiedzić Palestynę. Kiedykolwiek zastanawiałem się nad naszym żydowskim życiem, mówiłem sobie: Nie wolno mi snuć żadnych wniosków, ostatecznych, jak długo nie przyjrzałem się z bliska jiszuwowi palestyńskiemu, a teraz, po naszym spotkaniu, powiadam sobie:

Z Palestyną staje się życie żydowskie pełniejsze, doskonalsze, bogatsze



w treść. Sens i logika historii żydowskiej staje się dzięki Palestynie bardziej zrozumiała.

Zawsze interesowało mnie zagadnienie, czy mamy prawo do tej ziemi. W głębi swej świadomości, w duszy swojej nigdy nie mogłem pogodzić się z tymi, którzy nam prawa do Palestyny odmawiają. Czulem, że Palestyna, jej to historyczne, wszystkie nasze subtelne marzenia, pochodzące jeszcze z dalekich lat dzieciństwa, sny, jakie uweszczyły w naszą duszę, serdeczny stosunek do Palestyny, wyhodowany na Kiebach Proroków — czulem, że wszystko to nie znajduje się w żadnej sprzeczności z życiem Żydów w krajach rozproszenia. Czulem, że nie ma sprzeczności między tym a naszą twórczością literacką, w którą tyle układamy energii, że nie stoi to w żadnej sprzeczności ze światowym żydowskim ruchem robotniczym, który walczy o lepszy byt dla Żydów we wszystkich krajach, który nosi w sobie ziarno nowej żydowskiej kultury. Jeśli przez całe życie zaliczałem się do obozu idyszystów — tym pozostałem i dzisiaj —

nigdy jednak nie czulem tego, jakoby moja miłość dla języka i literatury żydowskiej mogła stać się przeciwną między mną a hebrajskim dziełem odbudowy w Palestynie.

Z zadowoleniem stwierdzam, że rzeczywistość palestyńska tak jak ją widziałem, nie tylko nie osłabiła wewnętrznych nici, które zawsze łączyły mnie z Palestyną, lecz przeciwnie, wzmocniła je bardziej jeszcze. Na pytanie, czy mamy prawo do tej ziemi, odpowiadam teraz kategorycznie: „tak!” Mam do tej ziemi pełne prawa. Doszedłem do tego wniosku prostą drogą. Widziałem, co zdziałaly tu ręce żydowskie, jak przemieniły pustkowia na kвітące osiedla, a skalistą ziemię na wspaniałe ogrody.

Palestyna znajduje się obecnie w najbardziej tragicznym okresie. Wszystkie nerwy są napięte, wszystkie serca przepełnione troską i drżeniem o los tego, co zostało tu wybudowane i stworzone. A choć bawili tu tylko krótko, to jednak wyjeżdżam stąd z uczuciem, jak gdyby moja osobiste dzieło, jak gdyby moja indywidualna twórczość znalazła się w niebezpieczeństwie.

Wszystko, co żyje we mnie przepełnione jest nadzieją, że jiszuw przezwycięży wszelkie niebezpieczeństwa i że w końcu znajdzie drogę do tych podjudzanych mas narodu arabskiego, które z powodu historycznej pomyłki występują jeszcze jako przeciwnicy odbudowy żydowskiej Palestyny.

Żyjąc niezachowaną nadzieję, że trwać będzie dalekie dzieło wznoszone pracą rąk żydowskich. Niechaj więc te twórcze ręce nie ustają w pracy!

Obehdowacym jubileusz swej partii „bundowcom”, radzimy uważnie przeczytać te słowa wybitnego żydowskiego poety, idyszysty i socjalisty.

Cafe „WINSOR”

Spółka z ogr. odp.

ŁÓDŹ Al. Kościuszki Nr. 1 Telefon 137-13

ŚNIADANIA, OBIADY JARSKIE I KOLACJE.

POLECAMY WYROBY WCHODZĄCE W ZAKRES CUKIERNICTWA Z WŁASNEGO WYPIEKU.

Wielki wybór pism krajowych i zagranicznych.

LEOPOLD HALPERN

Od 16 z górą miesięcy oczy całego świata są zwrócone na Hiszpanię, tak mało jednak u nas się wie o tym kraju, o jego przeszłości i tragicznej teraźniejszości. Właściwie jedynym niemal źródłem wiadomości o Hiszpanii dla czytelnika, czytającego po polsku, są, nie zawsze grzeszące obiektywizmem, depesze PAT oraz biuletyny wojenne kwater głównych w Barcelonie i Salamance. W polskiej literaturze historyczno - politycznej istnieje poważna luka, tym dotkliwsza, że sprawy hiszpańskie od wielu lat przestały już być zagadnieniem lokalnym, a Iberia z pozycji kresów Europy przeszła do roli jakby soczewki, w której skupiają się promienie najdonioślejszych zagadnień socjalnych oraz zewnętrzno i wewnętrzno politycznych naszej części świata.

Usunięcie, bodaj w części, tej luki przyświecało utalentowanym dziennikarzom i publicystom, Jerzemu Boreiszowi i Ksaweremu Pruszyńskiemu, autorem dwóch najlepszych spośród wydanych ostatnio w języku polskim, prac o Hiszpanii*) Prace te różnią się od siebie charakterem (książka Boreisza jest studium historyczno - socjologiczno - politycznym, książka Pruszyńskiego aktualnym reportażem), wspólnym jest jednak dążenie autorów do odkrycia prawdy o Hiszpanii, bez względu na to, jaka ta prawda będzie. Obie książki wzajemnie się dopełniają, tak pod względem okresów, którym są poświęcone (Boreisza omawia okres od 1873 r. do wybuchu rokosa gen. Franco w r. 1936 — Pruszyński daje obraz samej wojny domowej), jak i z punktu widzenia metody pisarskiej; można bowiem powiedzieć, że Pruszyński dał żywą ilustrację do naukowo - politycznych rozważań Boreisza.

Ale tej żywości, bezpośredniości i barwności nie brak także naukowo - publicystycznym wywodom Boreisza. Autor jest publicystą, pozostał też nim w swej pierwszej większej pracy naukowej. Może nawet formalistyczna pedanteria metody naukowej kazałaby w związku z tym zarzucić mu to i owo, niewątpliwie jednak żyłka dziennikarska przychyliła się do władania życia w studia nad epoką, która swą barwnością dorównuje nieraz obrazom mistrzów hiszpańskich.

A Pruszyński? Ten utalentowany dziennikarz, o wyrobionym już od szeregu lat nazwisku w polskiej prasie, pozostał wierny dotychczasowej metodzie nie cofania się przed obserwacjami takich faktów i wyciąganiem takich wniosków, które nawet tu i ówdzie mogłyby kłócić się z jego nastawieniem politycznym. Nie zawsze zgadzając się z jego oceną zjawisk i wydarzeń, nie możemy wszakże autorowi odmówić dążenia do unikania subiektywizmu.

Pewien uczony rzucił śmiało myśl, że geograficznie Hiszpania nie należy właściwie do Europy. W powiedzeniu tym jest dużo prawdy, jeśli uwzględnimy rolę łańcucha Pirenejów, oddzielającego Półwysp Iberijski od reszty kontynentu. Istotnie też od kilku wieków Hiszpania pozostała w tyle za tempem rozwoju historycznego Europy, przekształcając się w jej peryferię, w jej zaniedbane i zacofane kresy.

Ale nie tylko przyczyny geograficzne dołożyły się na to — większą rolę odegrały tu bodaj momenty zewnętrzno - polityczne. Mało który kraj znajdował się pod tak silnym wpływem polityki zagranicznej mocarstw, jak Hiszpania. Dominował tu zwłaszcza wpływ Anglii, posiadającej na Półwyspie Pirenejjskim jedną z najważniejszych baz morską - strategiczną, Gibraltar, i zainteresowanej w tym, by Hiszpania pozostała słaba, zacofana i zależna. Z wpływem Anglii konkurują dążenia Włoch, marzących o ekspansji na Morzu Śródziemnym i w Afryce. Francja jest żywo zainteresowana Hiszpanią ze względu na zachodnią granicę, Niemcy zaś pragną właśnie na tym odcinku zaszachować Francję, w imię uzyskania od niej ustępstw na innych, zwłaszcza kolonialnych, terenach.

Idealnym dla angielskich interesów polityczno - strategicznych i ekonomicznych (większa część kapitałów inwestowanych w Hiszpanii, to kapitały angielskie) ustrojem Hiszpanii był system, uosobniony przez ostatniego króla, Alfonsa XIII. Nazwijmy ten system Don Alfonsa, króla - biznesmana, lichego wojakowego i kiepskiego polityka *alfonsizmem*. Co było istotą alfonsizmu? Przede wszystkim: *zacofanie*. Tu tkwiło źródło jaskrawych niesprawiedliwości socjalnych (hr. Romanones np., polityk z epoki alfonsizmu, posiadał latyfundium, obejmujące obszar całej prowincji), słabości militarnej (w armii na każdym 10 żołnierzy był 1 oficer — zewnętrznie nie przedstawiała ona żadnej wartości bojowej, odgrywając raczej rolę politycznej policji), niedołężnej administracji (służyli w niej oficerowie, dla których w armii nie starczyło nawet owych 10 żołnierzy), ciemnoty ludu (do najnowszych cza-

sów zachował się np. zwyczaj t. zw. „urządzenia“, polegający na wysyłaniu małoletniej młodzieży obojga płci na całe miesiące w góry, gdzie zajmowali się paszeniem bydła i oddawali się nieskrępowanej anarchii seksualnej) i niebywałego przelotu kleru i jego ogromnych dóbr doczesnych (24.000 majątków, 186 milionów peset, 1 własny bank, większość udziałów w 4 innych bankach, własna kolej i własna linia transatlantycka).

Jak długo jednak mógł ostać się w XX stuleciu alfonsizm, nawet odgródzony od Europy łańcuchem Pirenejów, korzystający z możnego poparcia obcego mocarstwa oraz obcego kapitału i opierający się na bagnietach żandarmerii? Chęć utrzymać się na powierzchni wbrew wzrastającemu uświadomieniu i niezadowoleniu mas ludowych, alfonsizm musiał użyć sztucznego zastrzyku odmładzającego. Tym zastrzykiem miała być dyktatura generała *Primo de Rivera*. Oznaczała ona zachowanie istotnej treści alfonsizmu, do której doszły pewne iluzoryczne i czysto powierzchowne elementy socjalno - narodowe. Tak np. dyktator wybudował kilka szos automobilowych (ciekawe, jak często ci dyktatorzy zaczynają realizację wielkich zamierzeń socjalnych od budowy szos; koledzy generała hiszpańskiego we Włoszech i w Niemczech także wyładowali swą twórczą energię na tym odcinku!), wprowadził niektóre reformy socjalne, naradzając się w tych sprawach z reprezentantami partii socjalistycznej (za czasów dyktatoratu późniejszy premier, *Largo Caballero*, był mianowanym przez dyktatora członkiem takiego ciała doradczego) i powołał do życia

J. Majus

Narodowe przebudzenie się ludów wschodu i dążność ich do emancypacji politycznej, społecznej i kulturalnej jest jednym z najwybitniejszych zjawisk najnowszych czasów. Kraje Wschodu przechodzą obecnie ten sam proces stawiania się i rozwoju nacjonalizmu, jakiego byliśmy świadkami w Europie XIX-go wieku. Lecz tempo tego rozwoju jest tym razem o wiele szybsze a dokonujące się ciągle przemiany przeobrażają oblicze ludów Wschodu z dnia na dzień.

OKRES PRZEŁOMOWY.

Wojna światowa, w wyniku której imperium otomańskie legło w gruzy, stanowi moment przełomowy dla arabskiego ruchu narodowego. Wizja zupełnej niepodległości zdawała się być u progu urzeczywistnienia. Anglia i Francja, które przyrzekły krajom arabskim niepodległość wzamian za zbrojną pomoc przeciw Turcji i Niemcom, mają jednak swe własne interesy na Bliskim Wschodzie i tylko częściowo zaspokoiły aspiracje arabskie. Na obszarach przynależnych dawniej do Korony osmańskiej powstały królestwo Iraku, Sandii, emirat Transjordanii, kraje mandatowe Syrii i Palestyny. Egipt znalazł się w przededniu niepodległości. Wszystkie te kraje pozostają jednak do dziś dnia w większej lub mniejszej zależności od Anglii i Francji, obawiających się stracić swe wpływy na tych ważnych dla nich obszarach, które mają olbrzymie znaczenie gospodarcze (nafta mousulska, plantacje bawełny w Egipcie i Sudanie) i strategiczne (droga do Indii).

Ostrze arabskiej walki niepodległościowej musi się zamyć z natury rzeczy kierować przeciw tym mocarstwom imperialistycznym. W mozołnym zmaganiu się wywalczyły sobie niektóre kraje arabskie pierwsze zaczątki państwowej bodaj samodzielnosci. Niezależność ich jest często tylko formalna i zewnętrzna, ale jest to w każdym razie krok naprzód w porównaniu z uprzednim stanem wojskowej okupacji i jawnego protektoratu państw europejskich.

WALKA WAFDU Z ANGLIĄ.

T. zw. deklaracja niezależności Egiptu, ogłoszona przez rząd angielski w lutym 1922 r. zakończyła formalnie okres protektoratu angielskiego i przyznała Egiptowi status niezależnego królestwa. *Wafd* nie uznał jednak tej deklaracji z powodu zastrzeżeń angielskich, odnoszących się do ochrony kanału Suezkiego, do polityki zewnętrznej Egiptu, „ochrony“ obcych interesów, utrzymania kapitulacji, oraz sprawy Sudanu, a pozbawiających deklarację jej istotnej treści. Wielokrotne rokowania prowadzone w następnych latach z rządem angielskim rozbiły się głównie o kwestię Sudanu, z którego gestu załudniony Egipt nie może żadną miarą zrezygnować.

Wafd przeżywał w pierwszych latach po wojnie okres wielkiego blasku i rozwoju, otrzymywał decydującą większość mandatów w parlamencie i tworzył gabinety. Jednak po zamordowaniu generalnego gubernatora Sudanu Anglika Sir Lee Stack'a musiał ostatni gabinet Zaglul - Paszy ustąpić i rozpoczął się okres długotrwałej reakcji. Wkrótce potem zmarł Saad Zaglul i *Wafd* doznał dalszego osłabienia, które przybrało szczególnie pod-

„Związek Patriotów“ (jeden z lewicowo - piśmudczykowski publicystów nazwał tę formację polityczną hiszpańskim „Ozonem“!). Zastrzyki narkotykami mają to do siebie, że nie leczą, ale na krótki czas usuwają cierpienia. Toteż zastrzyk dyktatury faszystowskiej nie uleczył alfonsizmu, ale o parę lat sztucznie przedłużył jego agonie. Pewnego pięknego dnia dyktatura umarła z wyczerpania, a wraz z nią umarł alfonsizm.

Stało się to w r. 1931, w czasie wyborów samorządowych, które przyniosły zwycięstwo t. zw. blokowi St. Sebastian, zrzeszającemu wszystkie, zarówno lewicowe, jak i prawicowe elementy republikańskie. Don Alfons, król-biznesman, musiał abdykować, ale uczynił to w chytnej formie, „zawieszenia wykonywania władzy“, po czym szybko zwił za granicę, zostawiając w pospiechu rodzinę, ale nie zapominając zabrać swych milionowych akcji, kosztowności i „oszczędności“.

Proklamowano II Republikę Hiszpan - ską (pierwsza była w r. 1873, ale załamała nie mając oparcia w armii). Zmieniła się forma, ale treści reakcyjnej Hiszpanii nie dało się tak łatwo usunąć. Przeciwnie, zmodyfikowała się i dlatego stała się groźniejsza niż dawniej. Do murów republikańskiej Granady przedostała się faszystowska zaraza.

Gil-Robles, utalentowany przywódca faszystowski - klerykalnej C. E. D. A., niedoszły kandydat na hiszpańskiego Hitlera, oświadczył z hiszpańską szczerością i gadatliwością na jednym z wieców: „Z republiką? Niech będzie z republiką!“ Bo re-

publikę nie gorzej od monarchii można wypełnić faszystowską treścią.

Powstała przepaść pomiędzy prawicą republikańską a republikańską demokracją. Republikanin *Alcala Zamorra*, wybrany prezydentem dzięki decydującemu poparciu *Largo Caballera* (nie wiedzieć czemu nazywanego u nas hiszpańskim *Leninem*?), poczęł zdecydowanie zdradzać ideały demokracji. Prześciął go jeszcze w tym dawny radykał, *Alejandro Leroux*. Blok St. Sebastian rozpadł się w gruzy. Nad Hiszpanią zawisła groza reakcji zmodyfikowanej, a więc stokrotnie groźniejszej od alfonsizmu.

W obliczu tego niebezpieczeństwa narodził się Front Ludowy, t. j. koalicja demokracji mieszczańskiej i proletariackiej. W wyborach do Kortezów w r. 1936 zwyciężyli *Azania* i *Caballero* — do władzy doszedł rząd Frontu Ludowego — nastąpiła Trzecia Republika Hiszpańska, republika demokratyczna.

Jej uosobieniem, a zarazem symbolem demokracji wojującej jest obecny Prezydent hiszpański, Don *Manuel Azania*. Jak większość polityków hiszpańskich, tak i on przeszedł śmiało ewolucję od formalnego republikanizmu do walki o demokratyczną treść w kadej dziedzinie życia zbiorowego. Pod prezydenturą *Azanii* dokonano się wielkie dzieło socjalnego wyzwolenia chłopów, skutych dotąd kajdanami feudalizmu. Pod rządami *Azanii*, pod jego osobistym kierownictwem powstały kadry armii republikańskiej, armii wiernej ideałom demokracji.

Dzięki tym dwóm reformom minęło już 16 miesięcy od „pronunciamento“ gen.

Franco, a Trzecia Republika istnieje i walczy o swój byt, o zwycięstwo. A przecież dawniej w Hiszpanii i poza Hiszpanią starczyło 24 godzin dla opanowania władzy przez byle generała! Dziś w obronie Trzeciej Republiki stanęła armia demokratyczna, stanęli chłopci. Dlatego Hiszpania *Azanii* istnieje wciąż, wbrew legionom ochotników z Niemiec i Włoch, wbrew dwójstej taktyce mocarstw, wbrew rozgardzowi anarchizmemu na własnych tyłach.

*

Gdy piszemy te słowa, losy Hiszpanii są dziwnie niepewne. Jaka Hiszpania wyłoni się z tej rzezi setek tysięcy, z tych kałuż krwi, z tych gruzów zbombardowanych miast? Jedno tylko jest pewne, nie będzie to obłudna, niedołężna i zdemoralizowana Hiszpania Don *Alfonsa*. Ale czyja Hiszpania? Don *Manuella Azanii* czy generała *Franco*? *Gil Roblesa* czy *Caballera*? Cóż można na te pytania odpowiedzieć, kiedy właściwe decyzje nie zapadną ani w Barcelonie ani w Burgos, ale w Londynie i Paryżu, w Berlinie i Rzymie.

Jedno wszakże jest pewne. Cokolwiek się stanie, cokolwiek zwycięży — nie wszystkie zdobycze Trzeciej Republiki *Azanii* będą mogły być przekreślone i unicestwione. Ziemia, którą wzięli chłopci, pozostanie już w rękach chłopów. Świadomość, że demokracji trzeba bronić nie tylko kartką wyborczą, ale wojskowym orężem — pozostanie drogowskazem dla obozu postępu i wolności.

To nie jest może wszystko, ale to jest już bardzo dużo. Dla demokracji w Hiszpanii i poza Hiszpanią.

NARODOWY RUCH ARABSKI

czas premierostwa Izmaela Sidki-Paszy 1930 — 33. Izmael Sidki, choć sam był wafdytą, starał się jednak z wszelkich sił o osłabienie *Wafdu*. Stanowisko *Nachas-Paszy*, następcy Sa'ad Zaglul'a na fotelu prezydenta *Wafdu*, było w tych latach raczej wyciekające. Nie omylił się on w swych przewidywaniach. Powszechnie niezadowolone, które przybrało na sile w kraju, wzmocniło niesłychanie pozycję *Wafdu* i utworzenie czysto wafdowskiego gabinetu *Nachas-Paszy*, które nastąpiło 10 maja 1936 r., było logicznym następstwem tego rozwoju. *Nachas Pasza* dokonał też rzeczy, uważanej przed tym za nieprawdopodobną i podpisał 26.8.1936 r. układ z Anglią, regulujący ostatecznie status niezależności Egiptu.

UKŁAD ANGIELSKO-EGIPSKI.

Dlaczego tym razem sprawa się udało mimo licznych niepowodzeń w przeszłości? Z jednej strony zrezygnował *Wafd* z krącowo maksymalistycznych postulatów a z drugiej strony Anglia, która po konflikcie włosko - abisyńskim chciała nawet wzmożenie swą pozycję w tym kluczowym obszarze nad kanałem suezkim, okazała się bardziej skłoną do ustępstw. Układ angielsko - egipski składa się z całego szeregu traktatów regulujących poszczególne sporne kwestie.

ZNIESIENIE KAPITULACYJ.

Kapitulacje (prawo eksterytorialności obywateli obcych mocarstw w Egipcie i odpowiedzialność we wszelkich sprawach jedynie przed własnymi sądami konsularnymi) mają zostać zniesione. Egipt zostanie przyjęty do Ligi Narodów i wysła dyplomatyczne zastępstwa do obcych krajów. Zawarte zostanie przymierze z Anglią. Ewentualna rewizja układu wchodzi w rachubę dopiero po 20 latach.

Układ wprowadzono w życie. 22 grudnia 1936 został dotychczasowy Wysoki Komisarz Egiptu sir Mills Lampson mianowany angielskim posłem (safir), a brytyjska straż przed budynkiem poselstwa w Kairze zastąpiła egipska policja. Ważną sprawę zniesienia kapitulacji załatwiła specjalna konferencja państw kapitulacyjnych zwołana z początkiem maja b. r. do *Montreux*. Coprawda sukces Egiptu był tylko częściowy: kapitulacje zostały zniesione, pozostały jednak jeszcze sądy *mieszane*, na przejściowy okres 12 lat. Na sesji Zgromadzenia Ligi w maju b. r. został też Egipt przyjęty w poczet genewskiego zrzeszenia narodów.

ZDRADZONY TESTAMENT SA'AD ZAGLULA?

Wafd ratyfikował jednomyślnie układ zawarty przez szefa rządu z Wielką Brytanią lecz liczne głosy ostrej krytyki ze strony innych partii w kraju wskazują na cienie dopiero co osiągniętego porozumienia. Według zdania opozycji uświęcił układ zamaskowany protektorat Anglii nad Egiptem. Gdyż granica suezkiej strefy militarnej ciągnie się, aż pod Kairo. Budowa autostrady przez deltę Nilu do których rząd się zobowiązał mają pierwszorzędne znaczenie wojskowe tylko dla wojsk angielskich. Armia angielska liczy wprawdzie w czasie pokoju tylko 10.000 żołnierzy, lecz wolno jej nieograniczenie powiększyć się nawet na wypadek samego *niebezpieczeń-*

stwa konfliktu! Sądy mieszane pozostaną jeszcze przez dłuższy okres czasu. Wobec możliwości zrewidowania postanowień układu dopiero po 20 latach równa się on uznaniu trwałej okupacji kraju. Formalne ogłoszenie niezależności Egiptu nie zmienia nic w powyższym faktycznym stanie rzeczy i całość układu stoi według mnie-mań rozczarowanych ekstremistów w jawnej sprzeczności z testamentem politycznym Sa'ad Zaglul'a Paszy. Według nich zdradził *Wafd* puszcinę ideową Zaglul'a, bezkompromisowego bojownika o wolność Egiptu i wkroczył na drogę współpracy z imperialistycznym okupantem.

Nie można zaprzeczyć dużej racji, tkwiącej w tym dowodzeniu opozycji, zataczającej coraz to szersze kręgi w kraju. Lecz ktoś ludzi się, że W. Brytania ustąpi tak łatwo z terenu mającego dla niej rozstrzygające znaczenie? Jest to stara taktyka polityki angielskiej; pozornie ustąpić i pójść na kompromisy, aby tym łatwiej, utrzymać się i wzmocnić własne pozycje w decydujących punktach.

PRZEMIANY W IRAKU.

Duże postępy na drodze do osiągnięcia niezależności politycznej poczynił też Irak. Jakkolwiek brakowało tu narodowej partii wielkiego formatu, jak egipski *Wafd*. Udało się jednak odpowiedzialnym politykom irakiskim pozyskać od Anglii wiele ustępstw, zwłaszcza że ta nie chciała zaangażować swych stosunków z ludnością kraju, licząc się z koniecznością zabezpieczenia swych życiowych interesów na naftowych terenach Mezopotamii.

Król Iraku Feizal, najwybitniejszy z synów Szeryfa Husseina z Mekki znalazł uznanie zarówno u arabskich nacjonalistów jak i w oczach Anglii, która uznawała jego nadzwyczajny takt i mądrość polityczną. Gdy umarł we wrześniu 1933 r. objął po nim tron jego wówczas 21-letni syn Ghazi, który potajemnie patronował też ostatniemu zamachowi stanu w Bagdadzie 29.10.1936 r.

Po ustąpieniu Iraku do Ligi Narodów 3 paźdz. 1932 r. rozpoczął się w Iraku okres odbudowy i reform na wszystkich odcinkach. Tempo ich wydało się jednak wojskowym i skrajnie nacjonalistycznym kołom zbyt powolnym (zwłaszcza w odniesieniu do wprowadzenia powszechnego obowiązku wojskowego) i tak doszło do zamachu stanu z 29.10 ub. r.

Przewrót ten dokonał się prawie bez przelewu krwi. W kilku godzinach ustąpił gabinet Yasin Paszy al-Haszimi, i Hikmat Suleiman, mąż zaufania kół wojskowych utworzył nowy rząd. Nowopowstała partia narodowej reformy („hibz al-islah al-watani“) poparła zamierzenia rządu na polu szkolnictwa, rozszerzenia opieki zdrowotnej, reform prawnych i gospodarczych. Nowy rząd przyspieszył rzeczywiste tempo reform, organizuje lotnictwo i radio, utrzymuje dobre stosunki z innymi arabskimi krajami, z Ibn-Saudem, Jemenem, Egiptem, Syrią, próbuje kolonizować be-duinów, budować koleje i t.p.

PROBLEM SYRYJSKI.

Stara imperialistyczna zasada „divide et impera“ przywiecająca polityce angielskiej w jej posiadłościach kolonialnych i protektoratach znalazła jeszcze wyraźniej-

szę zastosowanie w postępowaniu francuskich władz mandatowych w Syrii. Mimo to odznacza się arabski ruch narodowy w Syrii wysokim nasileniem i zajmując przodujące miejsce w całokształcie arabskiego ruchu niepodległościowego na Bliskim Wschodzie.

Konkretnym wyrazem narodowych aspiracji Arabów syryjskich była próba założenia syryjskiego królestwa pod berłem Feizala (późniejszego króla Iraku) w marcu 1920 r. Dni tego królestwa były jednak policzone i stosownie do tajnych układów państw sprzymierzonych mandat nad Syrią otrzymała Francja. Przyszły lata rozczarowań i surowych represji ze strony administracji francuskiej. Do dziś dnia pozostaje jeszcze żywo w pamięci brzemienne w skutki *zbombardowanie Damaszku* od 18 — 20 października 1925 r. W związku z antyfrancuskim powstaniem Druzów. Podział Syrii na autonomiczne prowincje i utworzenie w jednej z nich „niezależnej“ republiki libańskiej (pod pozorem ochrony chrześcijańskich maronitów) wzmogły jeszcze bardziej gorączkę nacjonalistów syryjskich. Pod stałym naciskiem ruchu narodowego i wrzenia przybierającego na sile, musiały w końcu władze francuskie poczynić częściowe bodaj ustępstwa. okres ten zbiegł się z dojściem do władzy rządu frontu ludowego we Francji, który drogą pokojową usiłował złagodzić napięcia i konflikty we francuskich posiadłościach kolonialnych i mandatowych. 9-go września 1936 r. zawarty został układ *francusko-syryjski*, wzorowany na irakiskim układzie z Anglią z 1930 r. Układ ten uregulował wzajemne stosunki Francji z Syrią, stwarzając znaczne odciążenie po nieznośnym napięciu ostatnich lat.

WYTYCZNE FRANCUSKIEJ POLITYKI.

Głównymi punktami układu są: zniesienie mandatu, zawarcie przyjaznego sojuszu z Francją, wstąpienie Syrii do Ligi Narodów, po 3 latach. Francja zmniejszy swe oddziały wojskowe, które pozostaną wyłącznie w Dżebel Duruz i Ladi Riya; Francja rozporządzać będzie poza tym dwoma lotnikami. Utworzy się armię narodową, która otrzyma francuskich instruktorów i broń. Administracja przejdzie w ręce syryjskie. Obszary Druzów i Alawitów zostaną włączone w granice nowego państwa. Zostanie ogłoszona ogólna amnestia polityczna. Układ ma zostać sukcesywnie wprowadzony w życie w ciągu 3 lat.

Rozpisane wybory do parlamentu syryjskiego dały przytłaczającą większość nacjonalistom. 21 grudnia ub. r. utworzono rząd narodowy w 27.12 ratyfikował parlament syryjski układ z Francją.

Zastrzeżenia, które krytyczna analiza konsekwentnych nacjonalistów poczyniła odnośnie układu Anglii z Egiptem w jeszcze większym stopniu odnoszą się do układu francusko-syryjskiego. Francja nie ma wcale zamiaru wypuścić steru faktycznej władzy ze swych rąk. Honorując jednak przynajmniej częściowo narodowe dążenia arabskie w Syrii, przyczynia się do pewnego uspokojenia tego terenu. Wobec ciągle wzrastającego napięcia politycznego w basenie morza Śródziemnego i intryg „proarabskiej“ Italii — jest ta taktyka Francji bezprzebieżna na czasie.

*) Jerzy Boreisza: Hiszpania (1873—1936). Nowa Biblioteka Społeczna, W-wa 1937. Str. 277. Ksawery Pruszyński: W czerwonej Hiszpanii. Tow. Wyd. „Rój“. W-wa 1937. Str. 345.

S. AUFHÄUSER

RZECZYWISTOŚĆ TRZECIEJ RZESZY

Czy roszczenia kolonialne Hitlera są słuszne?

Wątpliwą jest rzeczą, czy narodowi socjaliści stworzyli swój program kolonialny z powodu konieczności gospodarczej. „Biedaczyska” żądają kolonii ze względów mocarstwowo - politycznych, ich polityka zdobywcza jest organiczną kontynuacją wszech-niemieckich dążeń ekspansyjnych. Duch pruski, który za Bismarcka przeniknął Niemcy, doprowadził za Wilhelma II do tego, że imperialistyczne dążenia burżuazji łączyły się z panowaniem szlachty nadlaskiej i kasty oficerskiej. Teraz ten sam duch pruski święci triumf osiągnięty punkt kulminacyjny swej siły dzięki faszyzmowi niemieckiemu.

Placówka gospodarcza za morzem? Ważniejsza jest władza i prestige. Paweł Rohrbach trafnie nazwał swą książkę o koloniach „Der deutsche Gedanke in der Welt” (Myśl niemiecka w świecie). Rohrbach omawia „Znaczenie narodowe” kolonii i powiada:

„Nie brak powszedniego chleba każdemu Niemcowi opuszczać rolę i iść w dal, ale pragnienie, by coś w tej dali przedsięwziąć... Wobec ogromnej liczebności naszego narodu nie ma żadnego znaczenia to, że kilka tysięcy ludzi — choćby to nawet — byli b. dzielni ludzie — rocznie opuszcza kraj, ale poza jego granicami naskutek tego sposobu myślenia, o którym mówiliśmy wyrasta szczególny typ człowieka, wolny od przesądów stanowych i klasowych, które w kraju zatruwają życie.”

Już Rohrbach stanął na stanowisku idei nazistycznej, że postęp ludzkości „nie dokonuje się odrazu w niej całej”, lecz „najpierw w poszczególnych narodach.” Pangermanizm określił Rohrbach tymi słowami: „Myśl niemiecka stanowi zatem etyczne treść ducha niemieckiego siłę twórczą, rozstrzygającą o obecnych i przyszłych wydarzeniach w dziejach świata.”

Myśli te stają się dziś aktualne dzięki propagandzie kolonialnej. Względem gospodarcze odgrywa rolę nie dążność do wszechwładzy faszyzmu. Wystąpienie narodowych socjalistów przypomina wyraźnie początki wszechniemieckiej polityki światowej. Po zawarciu układu z Helgolandem (1890) stworzyli przeciwnicy „ustąpienia” Sansibara organizację, która była zwiazunką związków wszechniemieckiego. Przewodniczący Ogólnego Związku Niemieckiego (późniejszego Związku Wszechniemieckiego), Karol Peters, wezwał German do zawodów z Anglosasami o posiadłości zamorskie. Następca Petersa, profesor Ernst Hasse — Leipzig tworzył — zupełnie w stylu dzisiejszych nazi — pisma i mapy przyszłych „Wielkich Niemiec”. Według jednej takiej publikacji z 1895 powinny do przyszłego związku wieloniemieckiego należeć: „Po pierwsze obecne cesarstwo małoniemieckie wraz z Luxemburgiem; po drugie Holandia i Belgia; po trzecie niemiecka część Szwajcarii; po czwarte cesarstwo austriackie. W ramach tego chęlnego pangermanizmu rozwinęła się niemiecka polityka kolonialna. Odpowiadające w zupełności dzisiejszej propagandzie nazistycznej lekceważenie obecnej narodowości niezmienne zaszkodziło znaczeniu Niemiec w świecie.

„Szerzyciele kultury niemieckiej” — tak nazywali siebie ówczesni politycy kolonialni traktowali tubylców wyłącznie jako zwierzęta robocze, którym nigdy nie szczeni zarzutów z powodu niechęci do pracy. Charakterystyczne jest to, co czytamy w pamiętniku urzędu kolonialnego z 1908 — 1909 roku o szkołach dla tubylców: „Słuszne jest, że na obszarach pozycji ochronnych przywiązuje się coraz większą wagę do praktycznego wychowania tubylców i przygotowania ich do pracy, a szczególnie do rzemiosła i rolnictwa, głosząc również, że nie zmierzające do praktycznych umiejętności polowicze wykształcenie uznaje się za nie warte zachodu, a nawet w pewnym względzie za niebezpieczne.”

Tubylcy mieli pozostać „wyszkolonymi” niewolnikami. Dzieje parlamentu niemieckiego od 1884 do 1914 wykazują nam, że konserwatywni politycy kolonialni są identyczni z reakcją polityczną. Również i rozwiązanie parlamentu 13 grudnia 1906, po którym nastąpiły wybory hotentockie, nie przyniosło zapowiadanej przez liberalizm zmiany kursu. Liberalny minister Dernburg musiał się wkrótce zastosować do wszechniemieckich konserwatywnych metod kolonialnych.

Reakcja społeczna, poniewieranie ludzkimi prawami i wiara w przemoc — oto znamiona wszechniemieckiej polityki kolonialnej. Cóż za perspektywę, gdy teraz narodowy socjalizm znalazł sposobność wywierania w koloniach swego wypróbowanego w Trzeciej Rzeszy terroru!

24 kwietnia 1884 otrzymał konsul niemiecki w Capstadt depeszę od Bismarcka, w której donoszono, że Angra Pequena wraz z sąsiednim wybrzeżem została zdobyta drogą prywatnego układu z kupcem Lüderitzem i oddana pod opiekę Niemiec. Od 1884 do 1897 zostały zdobyte dalsze pozycje ochronne. Wybudowanie ich kosztowa-

ło setki milionów marek. W chwili wybuchu wojny Niemcy posiadały:

	km. kw.	tubylcy w tys.	Niemcy w tys.
Togo	87	1.032	0,3
Kamerun	790	2.649	1,6
Niem. Afryka Pdzach.	835	81	12,3
Niem. Afryka Wsch.	995	7.646	4,1
Niem. Nowa Gwinea	241	600	1
Samoa	2,6	35	0,3
Kiauczau	0,5	187	4,2
	2.951,1	12.230	23,8

W ciągu trzydziestu lat około 23.800 Niemców, wywędrowało do kolonii, liczących 12 milionów. Od 1884 do 1914 ludność niemiecka wzrosła o jakieś 20 milionów; 1/840 przyrostu wywędrowała do kolonii. Gdyby Niemcy odzyskały dziś wszystkie swoje kolonie i gdyby się udało co roku osiedlić tam tylu ludzi, ilu przed tym w ciągu trzydziestu lat — to jeszcze byłoby niewiele. I jest to romantyzm kolonialny, jeżeli teraz mimo tych poprzednich wypadków prowadzi się propagandę kolonialną pod hasłem: „Naród bez przestrzeni”. Nie należy też zapominać, że liczba ludności przed wojną mieści w sobie trzy do czterech tysięcy żołnierzy i policjantów. Ogromne powierzchnie obszarów kolonialnych są imponujące, ale obejmują wiele tysięcy kilometrów dziewiczej puszczy i stepów, które się nie nadają do osiedlania Europejczyków.

Własne dochody kolonii były małe; w urzędowym wykazie (podatki, cła, dochody administracyjne) wynosiły one w 1914 okrągłych pięćdziesiąt milionów — rozchody sto dziesięć milionów. Wykaz nieoficjalny przyniósł dalszych trzydziści siedem milionów. Nie do pojęcia są sumy, idące na obronę militarną kolonii, a zawarte są częściowo w żołdzie wojska, częściowo marynarki. Wydatki na obronę militarną kolonii są, według Rohrbacha, „sprawą państwową”. Według pamiętnika Dernburga

kolonizatorom kapitalistycznym nie chodzi w żadnym razie o to, a co państwu, które chce w sposób planowy pomnożyć pozycje aktywów narodowych, lecz chodzi o to, by w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć znaczne korzyści pieniężne. Zbyt długo nie mogą bowiem utrzymywać się poza krajem i im więcej mogą zdobyć, tym lepiej. A ciężarów, które rodzą wojny i powstania przy tym wcale nie ponoszą.”

Jeżeli pozycje ochronne podnosiły podatki, były one (według pisma marzyciela kolonialnego Chr. G. Barth’a z 1910) ściągane głównie z biedniejszych warstw, szczególnie jako pogłówny i podymne. Wiele przy tym osiągnąć nie można. Przy obecnej gospodarce finansowej Trzeciej Rzeszy i tak już dziś — bez wydatków na kolonie — państwo i naród ledwo mogą się utrzymać pod ciężarem długów. Dalsze miliardowe obciążenie z powodu odbudowy kolonii musiało by przyspieszyć katastrofę finansową.

Wobec tego, że gospodarka również cierpi z powodu balastu długów państwowych, kapitaliści niemieccy sami nie powinni dziś zbytnio żądać kolonii. Te korzyści, które można było osiągnąć, prywatne towarzystwa kolonialne wyzyskały po wojnie i po wygaśnięciu praw „niemieckiej mości”. Administracje mandatowe nie czyniły niemieckim towarzystwom kolonialnym żadnych trudności; szczególnie w byłej Afryce Południowo-wschodniej kapitał niemiecki jest znów bardzo czynny i są dowody na to, że uwięzione powodzeniem prace kolonizacyjne mogą być prowadzone i wtedy, gdy się kolonii nie posiada. Według przeglądu w „Neue Zürcher Zeitung” sytuacja finansowa „większej części towarzystw w istocie znacznie się poprawiła”. Gdyby więc przyszło w Trzeciej Rzeszy tylko do powiększonego przywozu z kolonii, to ten odcinek niemieckiego handlu zagranicznego dzięki poparciu tych i dalszych towarzystw kolonialnych mógłby być istotnie taniej urządzony, niżby to uczynić mogła kosztowna mocarstwowa polityka kolonialna narodowych socjalistów.

Nie, uzasadnianie żądań kolonii względami gospodarczymi jest niedorzecznością.

Handel Rzeszy z obszarami jej pozycji obronnych był w porównaniu z całym handlem zagranicznym wciąż nieznaczny.

Handel zagr. 1913 Handel własny Handel zpozyjami obrounymi

Przywóz 11,654 53,2

Wywóz 10,891 57,1

Import z kolonii nie mógłby również dostarczyć tych surowców, które dziś potrzebne są dla celów wojennych. W planie czteroletnim nie uwzględniono ani kawy ani kakao. Lecz, kaczuk i bawełna nie miały w niemieckich koloniach wielkiego znaczenia. Trzecia Rzesza nie zdoła więc w żadnym razie usunąć braków w surowcach dzięki odzyskaniu kolonii. Wysunięty przez Hitlera problem surowców da się rozwiązać nie przez kolonie, lecz jedynie przez organizację całej gospodarki.

Międzynarodowe związki zawodowe na swym kongresie w Londynie rozważały rolę, jaką odgrywały w świecie surowce kolonialne. Autonomicznie rządzące się dominia (Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka) nie mogły przy tych stwierdzeniach uchodzić za kolonie. Natomiast surowce Indii Brytyjskich zalichzone były jeszcze do produkcji kolonialnej. Przegląd ten oparty był na danych z roku 1934 i na imporcie surowców do Trzeciej Rzeszy w 1934. W międzyczasie potrzeba surowców w Hitlerii znacznie wzrosła.

Jeżeli chodzi o węgiel brunatny, Niemcy i Czechosłowacja opanowały produkcję światową. Pomijając kaczuk i cynę, produkcja kolonialna odgrywa nieznaczną rolę w produkcji światowej surowca. Istotnymi posiadaczami surowców są suwerenne państwa. Surowce opanowane są przy tym raczej przez prywatne monopolistyczne instytucje, przez koncerty i trusty, niż przez państwa.

Imaginacje propagandy kolonialnej narodowych socjalistów nie wytrzymują więc krytyki realnych rozważań. Spowodowane przez regim ubóstwo gospodarki niemieckiej służy tylko za pretekst, za którym

kolonizatorom kapitalistycznym nie chodzi w żadnym razie o to, a co państwu, które chce w sposób planowy pomnożyć pozycje aktywów narodowych, lecz chodzi o to, by w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć znaczne korzyści pieniężne. Zbyt długo nie mogą bowiem utrzymywać się poza krajem i im więcej mogą zdobyć, tym lepiej. A ciężarów, które rodzą wojny i powstania przy tym wcale nie ponoszą.”

Jeżeli pozycje ochronne podnosiły podatki, były one (według pisma marzyciela kolonialnego Chr. G. Barth’a z 1910) ściągane głównie z biedniejszych warstw, szczególnie jako pogłówny i podymne. Wiele przy tym osiągnąć nie można. Przy obecnej gospodarce finansowej Trzeciej Rzeszy i tak już dziś — bez wydatków na kolonie — państwo i naród ledwo mogą się utrzymać pod ciężarem długów. Dalsze miliardowe obciążenie z powodu odbudowy kolonii musiało by przyspieszyć katastrofę finansową.

Wobec tego, że gospodarka również cierpi z powodu balastu długów państwowych, kapitaliści niemieccy sami nie powinni dziś zbytnio żądać kolonii. Te korzyści, które można było osiągnąć, prywatne towarzystwa kolonialne wyzyskały po wojnie i po wygaśnięciu praw „niemieckiej mości”. Administracje mandatowe nie czyniły niemieckim towarzystwom kolonialnym żadnych trudności; szczególnie w byłej Afryce Południowo-wschodniej kapitał niemiecki jest znów bardzo czynny i są dowody na to, że uwięzione powodzeniem prace kolonizacyjne mogą być prowadzone i wtedy, gdy się kolonii nie posiada. Według przeglądu w „Neue Zürcher Zeitung” sytuacja finansowa „większej części towarzystw w istocie znacznie się poprawiła”. Gdyby więc przyszło w Trzeciej Rzeszy tylko do powiększonego przywozu z kolonii, to ten odcinek niemieckiego handlu zagranicznego dzięki poparciu tych i dalszych towarzystw kolonialnych mógłby być istotnie taniej urządzony, niżby to uczynić mogła kosztowna mocarstwowa polityka kolonialna narodowych socjalistów.

Nie, uzasadnianie żądań kolonii względami gospodarczymi jest niedorzecznością.

Handel Rzeszy z obszarami jej pozycji obronnych był w porównaniu z całym handlem zagranicznym wciąż nieznaczny.

Handel zagr. 1913 Handel własny Handel zpozyjami obrounymi

Przywóz 11,654 53,2

Wywóz 10,891 57,1

Import z kolonii nie mógłby również dostarczyć tych surowców, które dziś potrzebne są dla celów wojennych. W planie czteroletnim nie uwzględniono ani kawy ani kakao. Lecz, kaczuk i bawełna nie miały w niemieckich koloniach wielkiego znaczenia. Trzecia Rzesza nie zdoła więc w żadnym razie usunąć braków w surowcach dzięki odzyskaniu kolonii. Wysunięty przez Hitlera problem surowców da się rozwiązać nie przez kolonie, lecz jedynie przez organizację całej gospodarki.

Międzynarodowe związki zawodowe na swym kongresie w Londynie rozważały rolę, jaką odgrywały w świecie surowce kolonialne. Autonomicznie rządzące się dominia (Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka) nie mogły przy tych stwierdzeniach uchodzić za kolonie. Natomiast surowce Indii Brytyjskich zalichzone były jeszcze do produkcji kolonialnej. Przegląd ten oparty był na danych z roku 1934 i na imporcie surowców do Trzeciej Rzeszy w 1934. W międzyczasie potrzeba surowców w Hitlerii znacznie wzrosła.

Jeżeli chodzi o węgiel brunatny, Niemcy i Czechosłowacja opanowały produkcję światową. Pomijając kaczuk i cynę, produkcja kolonialna odgrywa nieznaczną rolę w produkcji światowej surowca. Istotnymi posiadaczami surowców są suwerenne państwa. Surowce opanowane są przy tym raczej przez prywatne monopolistyczne instytucje, przez koncerty i trusty, niż przez państwa.

Imaginacje propagandy kolonialnej narodowych socjalistów nie wytrzymują więc krytyki realnych rozważań. Spowodowane przez regim ubóstwo gospodarki niemieckiej służy tylko za pretekst, za którym

kolonizatorom kapitalistycznym nie chodzi w żadnym razie o to, a co państwu, które chce w sposób planowy pomnożyć pozycje aktywów narodowych, lecz chodzi o to, by w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć znaczne korzyści pieniężne. Zbyt długo nie mogą bowiem utrzymywać się poza krajem i im więcej mogą zdobyć, tym lepiej. A ciężarów, które rodzą wojny i powstania przy tym wcale nie ponoszą.”

Jeżeli pozycje ochronne podnosiły podatki, były one (według pisma marzyciela kolonialnego Chr. G. Barth’a z 1910) ściągane głównie z biedniejszych warstw, szczególnie jako pogłówny i podymne. Wiele przy tym osiągnąć nie można. Przy obecnej gospodarce finansowej Trzeciej Rzeszy i tak już dziś — bez wydatków na kolonie — państwo i naród ledwo mogą się utrzymać pod ciężarem długów. Dalsze miliardowe obciążenie z powodu odbudowy kolonii musiało by przyspieszyć katastrofę finansową.

Wobec tego, że gospodarka również cierpi z powodu balastu długów państwowych, kapitaliści niemieccy sami nie powinni dziś zbytnio żądać kolonii. Te korzyści, które można było osiągnąć, prywatne towarzystwa kolonialne wyzyskały po wojnie i po wygaśnięciu praw „niemieckiej mości”. Administracje mandatowe nie czyniły niemieckim towarzystwom kolonialnym żadnych trudności; szczególnie w byłej Afryce Południowo-wschodniej kapitał niemiecki jest znów bardzo czynny i są dowody na to, że uwięzione powodzeniem prace kolonizacyjne mogą być prowadzone i wtedy, gdy się kolonii nie posiada. Według przeglądu w „Neue Zürcher Zeitung” sytuacja finansowa „większej części towarzystw w istocie znacznie się poprawiła”. Gdyby więc przyszło w Trzeciej Rzeszy tylko do powiększonego przywozu z kolonii, to ten odcinek niemieckiego handlu zagranicznego dzięki poparciu tych i dalszych towarzystw kolonialnych mógłby być istotnie taniej urządzony, niżby to uczynić mogła kosztowna mocarstwowa polityka kolonialna narodowych socjalistów.

Nie, uzasadnianie żądań kolonii względami gospodarczymi jest niedorzecznością.

Handel Rzeszy z obszarami jej pozycji obronnych był w porównaniu z całym handlem zagranicznym wciąż nieznaczny.

Handel zagr. 1913 Handel własny Handel zpozyjami obrounymi

Przywóz 11,654 53,2

Wywóz 10,891 57,1

Import z kolonii nie mógłby również dostarczyć tych surowców, które dziś potrzebne są dla celów wojennych. W planie czteroletnim nie uwzględniono ani kawy ani kakao. Lecz, kaczuk i bawełna nie miały w niemieckich koloniach wielkiego znaczenia. Trzecia Rzesza nie zdoła więc w żadnym razie usunąć braków w surowcach dzięki odzyskaniu kolonii. Wysunięty przez Hitlera problem surowców da się rozwiązać nie przez kolonie, lecz jedynie przez organizację całej gospodarki.

Międzynarodowe związki zawodowe na swym kongresie w Londynie rozważały rolę, jaką odgrywały w świecie surowce kolonialne. Autonomicznie rządzące się dominia (Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka) nie mogły przy tych stwierdzeniach uchodzić za kolonie. Natomiast surowce Indii Brytyjskich zalichzone były jeszcze do produkcji kolonialnej. Przegląd ten oparty był na danych z roku 1934 i na imporcie surowców do Trzeciej Rzeszy w 1934. W międzyczasie potrzeba surowców w Hitlerii znacznie wzrosła.

Jeżeli chodzi o węgiel brunatny, Niemcy i Czechosłowacja opanowały produkcję światową. Pomijając kaczuk i cynę, produkcja kolonialna odgrywa nieznaczną rolę w produkcji światowej surowca. Istotnymi posiadaczami surowców są suwerenne państwa. Surowce opanowane są przy tym raczej przez prywatne monopolistyczne instytucje, przez koncerty i trusty, niż przez państwa.

Imaginacje propagandy kolonialnej narodowych socjalistów nie wytrzymują więc krytyki realnych rozważań. Spowodowane przez regim ubóstwo gospodarki niemieckiej służy tylko za pretekst, za którym

kolonizatorom kapitalistycznym nie chodzi w żadnym razie o to, a co państwu, które chce w sposób planowy pomnożyć pozycje aktywów narodowych, lecz chodzi o to, by w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć znaczne korzyści pieniężne. Zbyt długo nie mogą bowiem utrzymywać się poza krajem i im więcej mogą zdobyć, tym lepiej. A ciężarów, które rodzą wojny i powstania przy tym wcale nie ponoszą.”

Jeżeli pozycje ochronne podnosiły podatki, były one (według pisma marzyciela kolonialnego Chr. G. Barth’a z 1910) ściągane głównie z biedniejszych warstw, szczególnie jako pogłówny i podymne. Wiele przy tym osiągnąć nie można. Przy obecnej gospodarce finansowej Trzeciej Rzeszy i tak już dziś — bez wydatków na kolonie — państwo i naród ledwo mogą się utrzymać pod ciężarem długów. Dalsze miliardowe obciążenie z powodu odbudowy kolonii musiało by przyspieszyć katastrofę finansową.

Wobec tego, że gospodarka również cierpi z powodu balastu długów państwowych, kapitaliści niemieccy sami nie powinni dziś zbytnio żądać kolonii. Te korzyści, które można było osiągnąć, prywatne towarzystwa kolonialne wyzyskały po wojnie i po wygaśnięciu praw „niemieckiej mości”. Administracje mandatowe nie czyniły niemieckim towarzystwom kolonialnym żadnych trudności; szczególnie w byłej Afryce Południowo-wschodniej kapitał niemiecki jest znów bardzo czynny i są dowody na to, że uwięzione powodzeniem prace kolonizacyjne mogą być prowadzone i wtedy, gdy się kolonii nie posiada. Według przeglądu w „Neue Zürcher Zeitung” sytuacja finansowa „większej części towarzystw w istocie znacznie się poprawiła”. Gdyby więc przyszło w Trzeciej Rzeszy tylko do powiększonego przywozu z kolonii, to ten odcinek niemieckiego handlu zagranicznego dzięki poparciu tych i dalszych towarzystw kolonialnych mógłby być istotnie taniej urządzony, niżby to uczynić mogła kosztowna mocarstwowa polityka kolonialna narodowych socjalistów.

Nie, uzasadnianie żądań kolonii względami gospodarczymi jest niedorzecznością.

Handel Rzeszy z obszarami jej pozycji obronnych był w porównaniu z całym handlem zagranicznym wciąż nieznaczny.

Handel zagr. 1913 Handel własny Handel zpozyjami obrounymi

Przywóz 11,654 53,2

Wywóz 10,891 57,1

Import z kolonii nie mógłby również dostarczyć tych surowców, które dziś potrzebne są dla celów wojennych. W planie czteroletnim nie uwzględniono ani kawy ani kakao. Lecz, kaczuk i bawełna nie miały w niemieckich koloniach wielkiego znaczenia. Trzecia Rzesza nie zdoła więc w żadnym razie usunąć braków w surowcach dzięki odzyskaniu kolonii. Wysunięty przez Hitlera problem surowców da się rozwiązać nie przez kolonie, lecz jedynie przez organizację całej gospodarki.

Międzynarodowe związki zawodowe na swym kongresie w Londynie rozważały rolę, jaką odgrywały w świecie surowce kolonialne. Autonomicznie rządzące się dominia (Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka) nie mogły przy tych stwierdzeniach uchodzić za kolonie. Natomiast surowce Indii Brytyjskich zalichzone były jeszcze do produkcji kolonialnej. Przegląd ten oparty był na danych z roku 1934 i na imporcie surowców do Trzeciej Rzeszy w 1934. W międzyczasie potrzeba surowców w Hitlerii znacznie wzrosła.

Jeżeli chodzi o węgiel brunatny, Niemcy i Czechosłowacja opanowały produkcję światową. Pomijając kaczuk i cynę, produkcja kolonialna odgrywa nieznaczną rolę w produkcji światowej surowca. Istotnymi posiadaczami surowców są suwerenne państwa. Surowce opanowane są przy tym raczej przez prywatne monopolistyczne instytucje, przez koncerty i trusty, niż przez państwa.

kolonizatorom kapitalistycznym nie chodzi w żadnym razie o to, a co państwu, które chce w sposób planowy pomnożyć pozycje aktywów narodowych, lecz chodzi o to, by w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć znaczne korzyści pieniężne. Zbyt długo nie mogą bowiem utrzymywać się poza krajem i im więcej mogą zdobyć, tym lepiej. A ciężarów, które rodzą wojny i powstania przy tym wcale nie ponoszą.”

Jeżeli pozycje ochronne podnosiły podatki, były one (według pisma marzyciela kolonialnego Chr. G. Barth’a z 1910) ściągane głównie z biedniejszych warstw, szczególnie jako pogłówny i podymne. Wiele przy tym osiągnąć nie można. Przy obecnej gospodarce finansowej Trzeciej Rzeszy i tak już dziś — bez wydatków na kolonie — państwo i naród ledwo mogą się utrzymać pod ciężarem długów. Dalsze miliardowe obciążenie z powodu odbudowy kolonii musiało by przyspieszyć katastrofę finansową.

Wobec tego, że gospodarka również cierpi z powodu balastu długów państwowych, kapitaliści niemieccy sami nie powinni dziś zbytnio żądać kolonii. Te korzyści, które można było osiągnąć, prywatne towarzystwa kolonialne wyzyskały po wojnie i po wygaśnięciu praw „niemieckiej mości”. Administracje mandatowe nie czyniły niemieckim towarzystwom kolonialnym żadnych trudności; szczególnie w byłej Afryce Południowo-wschodniej kapitał niemiecki jest znów bardzo czynny i są dowody na to, że uwięzione powodzeniem prace kolonizacyjne mogą być prowadzone i wtedy, gdy się kolonii nie posiada. Według przeglądu w „Neue Zürcher Zeitung” sytuacja finansowa „większej części towarzystw w istocie znacznie się poprawiła”. Gdyby więc przyszło w Trzeciej Rzeszy tylko do powiększonego przywozu z kolonii, to ten odcinek niemieckiego handlu zagranicznego dzięki poparciu tych i dalszych towarzystw kolonialnych mógłby być istotnie taniej urządzony, niżby to uczynić mogła kosztowna mocarstwowa polityka kolonialna narodowych socjalistów.

Nie, uzasadnianie żądań kolonii względami gospodarczymi jest niedorzecznością.

Handel Rzeszy z obszarami jej pozycji obronnych był w porównaniu z całym handlem zagranicznym wciąż nieznaczny.

Handel zagr. 1913 Handel własny Handel zpozyjami obrounymi

Przywóz 11,654 53,2

Wywóz 10,891 57,1

Import z kolonii nie mógłby również dostarczyć tych surowców, które dziś potrzebne są dla celów wojennych. W planie czteroletnim nie uwzględniono ani kawy ani kakao. Lecz, kaczuk i bawełna nie miały w niemieckich koloniach wielkiego znaczenia. Trzecia Rzesza nie zdoła więc w żadnym razie usunąć braków w surowcach dzięki odzyskaniu kolonii. Wysunięty przez Hitlera problem surowców da się rozwiązać nie przez kolonie, lecz jedynie przez organizację całej gospodarki.

Międzynarodowe związki zawodowe na swym kongresie w Londynie rozważały rolę, jaką odgrywały w świecie surowce kolonialne. Autonomicznie rządzące się dominia (Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka) nie mogły przy tych stwierdzeniach uchodzić za kolonie. Natomiast surowce Indii Brytyjskich zalichzone były jeszcze do produkcji kolonialnej. Przegląd ten oparty był na danych z roku 1934 i na imporcie surowców do Trzeciej Rzeszy w 1934. W międzyczasie potrzeba surowców w Hitlerii znacznie wzrosła.

Jeżeli chodzi o węgiel brunatny, Niemcy i Czechosłowacja opanowały produkcję światową. Pomijając kaczuk i cynę, produkcja kolonialna odgrywa nieznaczną rolę w produkcji światowej surowca. Istotnymi posiadaczami surowców są suwerenne państwa. Surowce opanowane są przy tym raczej przez prywatne monopolistyczne instytucje, przez koncerty i trusty, niż przez państwa.

Imaginacje propagandy kolonialnej narodowych socjalistów nie wytrzymują więc krytyki realnych rozważań. Spowodowane przez regim ubóstwo gospodarki niemieckiej służy tylko za pretekst, za którym

kolonizatorom kapitalistycznym nie chodzi w żadnym razie o to, a co państwu, które chce w sposób planowy pomnożyć pozycje aktywów narodowych, lecz chodzi o to, by w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć znaczne korzyści pieniężne. Zbyt długo nie mogą bowiem utrzymywać się poza krajem i im więcej mogą zdobyć, tym lepiej. A ciężarów, które rodzą wojny i powstania przy tym wcale nie ponoszą.”

Jeżeli pozycje ochronne podnosiły podatki, były one (według pisma marzyciela kolonialnego Chr. G. Barth’a z 1910) ściągane głównie z biedniejszych warstw, szczególnie jako pogłówny i podymne. Wiele przy tym osiągnąć nie można. Przy obecnej gospodarce finansowej Trzeciej Rzeszy i tak już dziś — bez wydatków na kolonie — państwo i naród ledwo mogą się utrzymać pod ciężarem długów. Dalsze miliardowe obciążenie z powodu odbudowy kolonii musiało by przyspieszyć katastrofę finansową.

Wobec tego, że gospodarka również cierpi z powodu balastu długów państwowych, kapitaliści niemieccy sami nie powinni dziś zbytnio żądać kolonii. Te korzyści, które można było osiągnąć, prywatne towarzystwa kolonialne wyzyskały po wojnie i po wygaśnięciu praw „niemieckiej mości”. Administracje mandatowe nie czyniły niemieckim towarzystwom kolonialnym żadnych trudności; szczególnie w byłej Afryce Południowo-wschodniej kapitał niemiecki jest znów bardzo czynny i są dowody na to, że uwięzione powodzeniem prace kolonizacyjne mogą być prowadzone i wtedy, gdy się kolonii nie posiada. Według przeglądu w „Neue Zürcher Zeitung” sytuacja finansowa „większej części towarzystw w istocie znacznie się poprawiła”. Gdyby więc przyszło w Trzeciej Rzeszy tylko do powiększonego przywozu z kolonii, to ten odcinek niemieckiego handlu zagranicznego dzięki poparciu tych i dalszych towarzystw kolonialnych mógłby być istotnie taniej urządzony, niżby to uczynić mogła kosztowna mocarstwowa polityka kolonialna narodowych socjalistów.

Nie, uzasadnianie żądań kolonii względami gospodarczymi jest niedorzecznością.

Handel Rzeszy z obszarami jej pozycji obronnych był w porównaniu z całym handlem zagranicznym wciąż nieznaczny.

Handel zagr. 1913 Handel własny Handel zpozyjami obrounymi

Przywóz 11,654 53,2

Wywóz 10,891 57,1

Import z kolonii nie mógłby również dostarczyć tych surowców, które dziś potrzebne są dla celów wojennych. W planie czteroletnim nie uwzględniono ani kawy ani kakao. Lecz, kaczuk i bawełna nie miały w niemieckich koloniach wielkiego znaczenia. Trzecia Rzesza nie zdoła więc w żadnym razie usunąć braków w surowcach dzięki odzyskaniu kolonii. Wysunięty przez Hitlera problem surowców da się rozwiązać nie przez kolonie, lecz jedynie przez organizację całej gospodarki.

Międzynarodowe związki zawodowe na swym kongresie w Londynie rozważały rolę, jaką odgrywały w świecie surowce kolonialne. Autonomicznie rządzące się dominia (Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka) nie mogły przy tych stwierdzeniach uchodzić za kolonie. Natomiast surowce Indii Brytyjskich zalichzone były jeszcze do produkcji kolonialnej. Przegląd ten oparty był na danych z roku 1934 i na imporcie surowców do Trzeciej Rzeszy w 1934. W międzyczasie potrzeba surowców w Hitlerii znacznie wzrosła.

Jeżeli chodzi o węgiel brunatny, Niemcy i Czechosłowacja opanowały produkcję światową. Pomijając kaczuk i cynę, produkcja kolonialna odgrywa nieznaczną rolę w produkcji światowej surowca. Istotnymi posiadaczami surowców są suwerenne państwa. Surowce opanowane są przy tym raczej przez prywatne monopolistyczne instytucje, przez koncerty i trusty, niż przez państwa.

Imaginacje propagandy kolonialnej narodowych socjalistów nie wytrzymują więc krytyki realnych rozważań. Spowodowane przez regim ubóstwo gospodarki niemieckiej służy tylko za pretekst, za którym

kolonizatorom kapitalistycznym nie chodzi w żadnym razie o to, a co państwu, które chce w sposób planowy pomnożyć pozycje aktywów narodowych, lecz chodzi o to, by w stosunkowo krótkim czasie osiągnąć znaczne korzyści pieniężne. Zbyt długo nie mogą bowiem utrzymywać się poza krajem i im więcej mogą zdobyć, tym lepiej. A ciężarów, które rodzą wojny i powstania przy tym wcale nie ponoszą.”

Jeżeli pozycje ochronne podnosiły podatki, były one (według pisma marzyciela kolonialnego Chr. G. Barth’a z 1910) ściągane głównie z biedniejszych warstw, szczególnie jako pogłówny i podymne. Wiele przy tym osiągnąć nie można. Przy obecnej gospodarce finansowej Trzeciej Rzeszy i tak już dziś — bez wydatków na kolonie — państwo i naród ledwo mogą się utrzymać pod ciężarem długów. Dalsze miliardowe obciążenie z powodu odbudowy kolonii musiało by przyspieszyć katastrofę finansową.

Wobec tego, że gospodarka również cierpi z powodu balastu długów państwowych, kapitaliści niemieccy sami nie powinni dziś zbytnio żądać kolonii. Te korzyści, które można było osiągnąć, prywatne towarzystwa kolonialne wyzyskały po wojnie i po wygaśnięciu praw „niemieckiej mości”. Administracje mandatowe nie czyniły niemieckim towarzystwom kolonialnym żadnych trudności; szczególnie w byłej Afryce Południowo-wschodniej kapitał niemiecki jest znów bardzo czynny i są dowody na to, że uwięzione powodzeniem prace kolonizacyjne mogą być prowadzone i wtedy, gdy się kolonii nie posiada. Według przeglądu w „Neue Zürcher Zeitung” sytuacja finansowa „większej części towarzystw w istocie znacznie się poprawiła”. Gdyby więc przyszło w Trzeciej Rzeszy tylko do powiększonego przywozu z kolonii, to ten odcinek niemieckiego handlu zagranicznego dzięki poparciu tych i dalszych towarzystw kolonialnych mógłby być istotnie taniej urządzony, niżby to uczynić mogła kosztowna mocarstwowa polityka kolonialna narodowych socjalistów.

Nie, uzasadnianie żądań kolonii względami gospodarczymi jest niedorzecznością.

J. BLEIBERG

O BUSOŁĘ DZIAŁANIA*)

„Trzy razy złudzenie człowieka, że zajmuje on centralną pozycję we wszechświecie zostało obalone przez naukę. Raz, gdy Kopernik odebrał ziemi jej stanowisko w środku świata, drugi raz, gdy Darwin umieścił człowieka w rzędzie innych zwierząt, i trzeci raz — teraz, gdy okazuje się, że człowiek nie jest panem nawet we własnym domu nawet w samym sobie. BO NIESWIADOME CZŁOWIEKA NIE PODLEGA JEGO JAŹNI.” (Freud: Wstęp do psychoanalizy). Z pośród trzech wymienionych przez Freuda degradacji człowieka najboleśniejsza niewątpliwie jest ostatnia, dokonana przez psychoanalizę. Odsłoniła ona jego tragiczną niemoc wobec własnego ducha, bezsilność „króla stworzenia” w walce z siłami własnej psychiki, działającymi niejako w konspiracji, poza kontrolą jego świadomości. Najgroźniejszy bowiem jest wróg, którego nie znamy, który działa podstępnie i napada zniemacka, zastając nas często nieprzygotowanymi do walki. Takim właśnie wrogiem jest tajemniczy, nieujarzmiony żywioł naszej psychiki. Na wiele wieków przed Freudem różni filozofowie, pisarze i moralści wskazywali na zagadkowość ducha ludzkiego, na to, że z pośród wszystkich istot człowiek najmniej zna samego siebie. Niektórzy z nich (La Rochefoucauld, Wolter, Nietzsche) uważali nawet nakaz samopoznania, sformułowany w słynnym napisie umieszczonym na frontonie świątyni w Delfach: poznaj siebie samego i propagowany przez wszystkie religie, za szczytowość z ludzkiej słabości, za złośliwość ze strony Boga, wywołującego od człowieka rzeczy niemożliwe, za podstęp kapłanów, zainteresowanych w odwróceniu uwagi człowieka od konkretnych i realnych spraw życiowych. Autor „Fausta”, którego całe życie i twórczość były w istocie swej wielkim, wciąż ponawianym studium duszy ludzkiej, stwierdza u schyłku swego życia: „Der Mensch ist ein dunkles Wesen, er weiss nicht woher er kommt, noch wohin er geht, er weiss wenig von der Welt und am wenigsten von sich selbst. Ich kenne mich auch nicht, und Gott soll mich auch davor behüten...” (Gespräche mit Eckermann — 10 April 1829).

W zespole zagadnień, związanych ze sprawą poznania człowieka, z tym, co Alfred Adler nazywał „Menschenkenntnis” miejsce centralne zajmuje problem charakteru. Bez jego rozwiązania nasza wiedza psychologiczna o człowieku musi pozostać ułamkową i fragmentaryczną. I dlatego zagadnienie charakteru nigdy nie przestało interesować uczonych i myślicieli, poszukujących żywej prawdy ludzkiego ducha. W starożytności słynne były „Charaktery moralne Theofrasta (372—287 przed naszą erą, przetłumaczone i uzupełnione przez francuskiego moralistę i satyrę z drugiej połowy 17 stulecia, La Bruyère’a. Zagadnieniem charakteru zajmowali się także Chamfort, La Rochefoucauld (we Francji), Bahnsen, Schopenhauer i Nietzsche w Niemczech. W ostatnich czasach powstała odrębna nauka — charakterologia, — której najwybitniejszymi przedstawicielami są Klages, Utitz, Kronfeld, Prinzhorn, Rohrer i inni. Istnieje nawet specjalny kwartalnik, poświęcony zagadnieniom charakterologicznym.

Wzrost zainteresowania dla problemu charakteru i powstanie specjalnej psychologicznej dyscypliny pozostaje w ścisłym związku z ogólną całościową tendencją współczesnej psychologii, dążącą do zrozumienia poszczególnych procesów psychicznych nie na podstawie elementów, jak to było w dawnej psychologii, lecz w świetle całości życia psychicznego, które jest czymś więcej niż prostą sumą elementów. Gdy mówimy o charakterze mamy właśnie na myśli pewien zespół cech psychicznych, pewną całość, stanowiącą swoiste, indywidualne piętno (charakter oznacza etymologicznie piętno, coś co jest wyryte utrwalone — w tym znaczeniu używali tego terminu starożytni Grecy) o s o b o w o ś c i.

Zagadnienie charakteru należy do tych problemów psychologicznych, które mają bezpośredni związek z życiową praktyką i ze sferą stosunków międzyludzkich. Z tego też bardzo istotnego względu winno ono zainteresować szerokie sfery niefachowców. Pojęciem charakteru posługujemy się często w mowie potocznej w różnych znaczeniach i dlatego ważne jest ustalenie jego zakresu i wyrobienie sobie pewnego poglądu na związane z nim podstawowe kwestie.

Dużo cennego materiału charakterologicznego zawierają dzieła wybitnych poetów, pisarzy i moralistów. Już u nich zarzyskuje się stanowisko, oddzielające charakter od zdolności intelektualnych. Istotę charakteru upatrują oni w stałości

pewnego zespołu cech duchowych, umożliwiających jednolite, konsekwentne postępowanie według przyjętych zasad, w nieugiętej sile ducha, zachowującego swoją zasadniczą, niezmienną i niezachwianą postawę we wszystkich życiowych przypadkach i sytuacjach. W tym aspekcie charakter ma w sobie coś heroicznego. Nie jest on bowiem dany człowiekowi jak talent, lecz wymaga długiej pracy nad sobą, wewnętrznej tresury i dyscypliny walki z wewnętrznymi i zewnętrznymi przeszkodami. Talent bowiem rozwija się najlepiej w odosobnieniu i ciszy, charakter zaś może się ukształtować tylko w zmaganiu się z przeciwnościami losu. „Es bildet ein Talent sich in der Stille, ein Charakter in dem Sturm der Welt” (Goethe). Ten bohater-ski element charakteru miał na myśli znany pisarz angielski Samuel Smiles, twierdząc, że „aczkolwiek geniusz budzi zawsze podziw, to jednak najwyższa cześć należy się charakterowi (Although genius always commands admiration, charakter most secures respect). Znany jest kult romantyków dla ludzi o silnych charakterach, kult, abstrahujący całkowicie od ich oceny moralnej. Silna indywidualność, posiadająca

stałą busołą postępowania, dążąca stanowczo i konsekwentnie do swego celu, nawet wówczas, gdy dzieje się to per fas et nefas, przy dowolnym doborze środków. Była dla niektórych z nich bardziej wartościowa od gnuśnego filistra, żyjącego w idealnej harmonii z przepisami obowiązującej moralności („Zbójcy” Schillera). Dotyczy to przede wszystkim Byrona, którego cała twórczość jest apoteozą ludzi silnych, choć niemoralnych w przeciętnym, mieszczańskim znaczeniu wyrazu.

Przed powstaniem charakterologii doszli pisarze do nauki o o b i e k t y w n e j koncepcji charakteru. Zrozumieli, że jego istota tkwi nie w intelekcie, lecz w woli, a więc może być talent bez charakteru, tak samo jak charakter bez talentu i że wartość jego jest czymś całkowicie autonomicznym, niezależnym od moralnej oceny, gdyż w samym pojęciu charakteru nie jest zawarty moment wartościujący. Gdy mówimy o charakterze nie przesądzamy bynajmniej jego etycznej kwalifikacji, która jest sprawą zupełnie odrębną. Ten czysto naukowy punkt widzenia jest też punktem wyjścia ciekawej pracy Doc. Franciszki Baumgarten p. t. „O charakte-

rze i jego kształceniu”. (Nakładem Poznańskiego Towarzystwa Psychologicznego). Autorka, znana w świecie naukowym z całego szeregu wybitnych dzieł z zakresu psychologii, daje w niewielkiej swojej pracy syntetyczny pogląd na główne kwestie, związane z problemem charakteru. Zasadnicze jej stanowisko cechuje optymistyczna wiara w człowieka, w jego zdolność do przezwyciężenia złych skłonności i osiągnięcia wysokiego poziomu moralnej doskonałości. Altruizm jest, jej zdaniem, tak samo pierwotnym przejawem uczuć ludzkich, jak egoizm. Nie podziela ona pesymizmu Schopenhauera i pokrewnych mu myślicieli w ocenie natury ludzkiej, wierzy raczej z Kantem, że właściwe nam jest poczucie moralne, będące źródłem sumienia. Ono nakazywało największym ludziom skrupulatne obserwowanie swoich czynów i myśli, ustawiczne dążenie ku wyżynom czystego człowieczeństwa, co byłoby niemożliwością, gdyby człowiek posiadał jedynie złe i destrukcyjne skłonności i popędy.

Od wieków toczy się w nauce spór na temat zmienności czy niezmienności charakterów. Ścierają się w nim dwa przeciw-

Budujmy żydowskie szkoły średnie!

(Artykuł dyskusyjny)

Zaraza getta ławkowego zaczyna przenosić się na teren szkolnictwa średniego. Na tym odcinku sprawa jednak przedstawia się zgoła odmiennie od warunków, panujących w szkołach akademickich, gdyż 1-o żydostwo polskie dysponuje bardzo liczną i dobrze zorganizowaną siecią szkolnictwa własnego, znajdującym się w ręku prywatnym lub instytucji społecznych.

2-o młodzież żydowska uczęszcza bardzo licznie do polskich szkół prywatnych, których budżet często opiera się w 50% (jeśli nie więcej) na wpływach, pochodzących od rodziców dzieci żydowskich. Szkoły te w razie dalszej akcji „ławkowej” narażone byłyby na poważne straty materialne, jeśli nie na całkowite zamknięcie.

3-o Szkoły średnie w odróżnieniu od szkół akademickich nie posiadają własnej autonomii, a młodzieży szkół średnich nie wolno brać udziału w życiu politycznym, co utrudnia agitację i swobodę działania. „Zarządzenia porządkowe”, wydawane przez pewne szkoły we własnym zakresie (jak to się zdarzyło ostatnio w Warszawie, skutek sugestii Kuratorium) w razie dalszej akcji musiałyby spowodować władze szkolne do wydania wyraźnych instrukcji, których na razie unikają.

Jak więc widzimy, chwilowo z różnych względów szkolnictwu średniemu nie grozi taki stan, jaki panuje na terenie szkół wyższych. Mimo to z różnych względów, a przede wszystkim ze względu na atmosferę sztucznie podsyconych antagonizmów narodowych i wyznaniowych — zagadnienie żydowskiego szkolnictwa średniego staje się dzisiaj coraz bardziej aktualną sprawą żydostwa polskiego.

Notoryczną jest rzeczą, że żydowska inteligencja i plutokracja — przynajmniej w Warszawie — oddaje swe dzieci do szkół polskich. Szkoły żydowskie cieszą się powodzeniem wyłącznie wśród sfer drobnej burżuazji, rzemieślniczej, kupieckiej i drobnokupieckiej, natomiast najwięcej 1% dzieci średnich szkół żydowskich rekrutuje się z sfer inteligencji. Różnie można tłumaczyć to zjawisko. Z jednej strony panuje nieuzasadniona nieufność do poziomu szkół żydowskich, które pod względem nauczania i wychowania dorównują bezspornie szkołom polskim. Z drugiej strony niestety odgrywa tu niepoślednią rolę o brzydliwy snobizm czy głupi przesąd, który inteligencji zawodowej czy plutokracji każe unikać kontaktu z młodzieżą, rzekomo pochodzącą z „niższych sfer”. Nie ma czego ukrywać, jest to argument dosyć żenujący, bo uderza w ideę demokratycznej szkoły.

Inny взгляд — już dzisiaj historyczny — to chęć zaasymilowania dzieci przez odcięcie ich od środowiska żydowskiego. Ten punkt wyjścia może być jeszcze najsilniej usprawiedliwiony, bo przynajmniej jest konsekwentny i opiera się na pewnym założeniu zasadniczym. Stanowisko przeciwników szkół wyznaniowych czy narodowych można wreszcie z całym spokojem i rzeczowością przyjąć do wiadomości — przynajmniej w normalnych warunkach zgodnego współżycia.

Gorzej natomiast sprawa przedstawia się ze zwolennikami wychowania narodowego, którzy potrafią gorąco gardłować na rzecz

judaisztiki i języka hebrajskiego, jako koniecznych przedmiotów nauczania, a równocześnie... oddają dzieci do szkół polskich.

Te zwyczaje, panujące wśród inteligencji i plutokracji żydowskiej w Warszawie, wywołały nienormalny stan, iż szkolnictwo żydowskie zaspokaja głównie potrzeby o charakterze religijnym (święcenie soboty, nauczanie biblii etc), natomiast pozostało przeważnie indyferentne na innych polach. Warszawskie szkoły średnie są instytucjami prywatnymi, nie mogącymi prowadzić przedsiębiorstwa z deficytem i dlatego muszą tak lawirować, aby uzyskać należytą frekwencję. Jednakże niezrozumiała i absurdalna jest panująca w bardzo wielu szkołach żydowskich tendencja asymilatorska, która nie pokrywa się ani z życzeniami klienteli, nastawionej na odrębne wychowanie narodowe ani też z życzeniami władz szkolnych (które wymagają tylko spełnienia postulatów wychowania państwowego, zresztą bez zarzutu w całej rozciągłości realizowanych). Judaistyka w wielu szkołach traktowana jest jako m. l u m n e c e s a r i u m, koncesja na rzecz klienteli, a nie jako conditio sine qua non narodowego szkolnictwa. Takie stanowisko zresztą zniechęca te odłamy społeczeństwa, dla których wyznaniowy charakter jest o wiele mniej ważny od narodowego ducha szkoły.

Bolączka jest więc dwójaka: z jednej strony zawińło społeczeństwo, które z lekceważeniem odnosi się do żydowskiego szkolnictwa, a z drugiej strony ponoszą również winę same szkoły, które nie potrafiły — poza 4—5 wyjątkami — zaspokoić potrzeb tego szkolnictwa.

Dzisiaj sprawa przedstawia się zupełnie odmiennie. Zagadnienie zaostrza się z dnia na dzień, gdyż przewidywany jest — ze względu na wrogą dla dzieci żydowskich atmosferę w szkołach polskich — masowy odpływ młodzieży żydowskiej od szkół polskich.

Przeżywamy obecnie proces przymusowej rejdendeizacji sfer plutokratycznych i inteligentnych. Nie możemy tej pozycji pochwalić, bo nie dokonujemy się ten proces naskutek wewnętrznego przeobrażenia się, lecz wynika z brutalnego odrzucenia garzących się ku polskości Żydów — nie mniej jednak zjawisko to musi się przyjąć do wiadomości, aby wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Tymczasem jednak społeczeństwo żydowskie nie jest zupełnie przygotowane na ewentualny przypływ tysięcy młodzieży do szkół żydowskich.

Wniosek jasny: stoimy wobec konieczności uruchomienia skomplikowanej sieci szkolnictwa przede wszystkim średniego, i to tak ogólnokształcącego (gimnazja i licea), jak i zawodowego (gimnazja i licea pedagogiczne, kupieckie, bieliźniarskie, elektryczne, mechaniczne i t. d.).

Sprawa jest nagląca, bo już z początku roku szkolnego 1938/9 należy się liczyć z potrzebą stworzenia wielkiej ilości zakładów naukowych. To, co zostało od r. 1918 w Warszawie zaniedbane (a co częściowo już wykonały Kraków, Lwów, Łódź), na-

leży bezzwłocznie dzisiaj nadrobić. Nie można z powodów wyżej wyszczególnionych liczyć wyłącznie na kapitał prywatny, lecz powinny instytucje społeczne przejąć inicjatywę w swoje ręce. Trzeba by w tym celu zorganizować towarzystwo, którym powinny zainteresować się żydowskie instytucje oświatowo-kulturalne oraz związki inteligencji zawodowej, dla której ta sprawa jest najbardziej paląca. Towarzystwo to musi dysponować większym kapitałem, aby potawiać szkoły od razu na należytych poziomach. Chodzi tu przede wszystkim o szkoły zawodowe, bo w Warszawie nie ma ani jednego liceum pedagogicznego (dawnego seminarium nauczycielskiego), ani jednego liceum przemysłowego czy handlowego.

Można by powołać do życia towarzystwo akcyjne i wypuścić akcje po niskiej cenie. Nabywców tych akcji można by znaleźć przede wszystkim wśród najbardziej zainteresowanych, t. j. rodziców, którzy czują brak szkół tego rodzaju. Kontrola czynników społecznego dałaby gwarancję, że te instytucje odpowiadałyby potrzebom żydowskiego szkolnictwa społecznego. Celem takiego towarzystwa nie mogłoby być ograniczenie się do stworzenia jednej czy dwóch placówek, lecz organizacja i opieka nad taką ilością zakładów, która by w zupełności pokryła zapotrzebowanie rynku. A zapotrzebowanie to jest silne, z dnia na dzień coraz silniejsze, gdyż z powodu hiperprodukcji inteligencji zawodowej oraz zamknięcia dostępu do uniwersytetów odczuwamy co rok więcej brak szkolnictwa zawodowego (dotychczas tylko „Ort” i gmina prowadzą szkoły zawodowe, ale tylko na najniższym stopniu). Obojętność społeczeństwa łatwo dzisiaj dla tej sprawy przełamać, gdyż co drugi dom żydowski stoi obecnie przed dylematem, gdzie kształcić dzieci. Trzeba więc wyzyskać to żywotne zainteresowanie i wyjść na ulicę żydowską z inicjatywą, ale szerszą, z rozmachem i śmiałością. Zwracamy się z apelem do instytucji, do Związków Lekarzy, Inżynierów, Adwokatów, Nauczycieli, Urzędników Prywatnych, „Tarbutu”, Gminy Żydowskiej, Bnei Brit, Spółdzielni Kredytowych, Centrali Związków Kupców, instytucji bankowych, związków przemysłowych etc. Instytucje te mogłyby wyłonić wspólny komitet, który by powołał do życia towarzystwo (w formie spółki akcyjnej lub innej). Można by rozdzielić opiekę i ciężar odpowiedzialności w ten sposób, że np. Centrala Kupców zatroszczyłaby się o utworzenie szkół handlowych, związki przemysłowe, inżynierów etc. o szkoły przemysłowe, związki lekarzy, adwokatów, urzędników o szkoły ogólnokształcące, związki nauczycielskie i „Tarbut” o szkoły pedagogiczne i t. d.

W każdym razie towarzystwo to musiałoby objąć jak najszerszy odłam społeczeństwa i apelować do prywatnej hojności, przynajmniej w pierwszym stadium organizowania pomocy naukowych i budowania własnego gmachu. Apel ten zwrócony byłby przede wszystkim w stronę inteligencji zawodowej i plutokracji, która we własnym interesie powinna jak najgoręcej poprzeć to wezwanie, które chyba — miejmy nadzieję — nie przejdzie bez echa.

RUSTAN.

PROSZKI BÓLU GŁOWY
DŁA DOROSŁYCH
ZE ZNACZKIEM
PSZCZOŁKA
Stosuje się również przy PRZEBIECIE
GRYPE I KATARZE

dziedzinie moralnej mimo wysiłków różnych reformatorów i wspaniałych zdobywców techniki, że, mówiąc słowami Goethego, ludzkość poszła naprzód, ale człowiek pozostał ten sam... Do przekonania i uczuciowości Autorki przemawiają jednak silnie argumenty rzeczowników stanowiska drugiego, przyjmujących plastyczność ludzkiego charakteru, nie będącego, ich zdaniem, stałą i niezmienną wielkością, bo podlegającego silnym wpływom czynników biologicznych (wzrastanie, dojrzewanie, starzenie się, choroby, powodujące zmianę charakteru), otoczenia, środowiska pracy zawodowej, materialnych warunków bytowania i t. p. Do przeobrażenia charakteru przyczynić się także mogą ważne wypadki dzieciowe, lub ciężkie przeżycia natury osobistej (śmierć drogiej osoby, utrata majątku, nieszczęśliwa miłość i t. p.) zmieniające nieraz radykalnie duchowe oblicze jednostki, powodując całkowite załamanie się jej charakteru. Zmienność charakterów jest różna u różnych ludzi. Są jednostki całkowicie niepodatne na wpływy zewnętrzne, które raczej zmieniają otaczające ich warunki niż pozwalają, aby one zniewoliły je do zmiany ich stałej linii postępowania, co jest właśnie istotą charakteru. I dlatego psychologowie przyjmują dwa typy ludzi: przeciwstawiających się wpływom otoczenia (Anlage-Typus—typ, w którym decyduje jego wrodzone założenie), i ulegającego im (Umwelt-Typus). Zdaje się zatem nie ulegać wątpliwości, że można w większym lub mniejszym stopniu przekształcać skłonności przyrodzone człowieka. Gdyby to było niemożliwe żadna praca pedagogiczno-wychowawcza nie miałaby racji bytu, popadlibyśmy w szkodliwy fatalizm, któryby pozwolił bez przeszkód rozwijać się wszystkim złym i aspołecznym tendencjom naszej psychiki. Przyjmując pewne wrodzone skłonności jako niezmienną bazę psychologiczną jednostki, możemy jednak na nią oddziaływać w kierunku wzmocnienia jednych i osłabiania innych. Podobnie jak miesiące wskutek ćwiczenia staje się silniejszą i większą, zaś przez nieużywanie — słabszą i może nawet zanikającą, tak samo możemy wzmocnić lub osłabić pewne tendencje charakteru przez wychowawcze, racjonalne oddziaływanie.

Według słusznego więc zdania Autorki charakter człowieka nie jest, ani odrzuca i na zawsze zdeteterminowany, przez wrodzone założenia, ani też zostawiony całkowicie swobodnemu oddziaływaniu wpływów zewnętrznych, jest on raczej syntezą, wypadkową współdziałania czynników wrodzonych i wpływów otoczenia — w najszerszym znaczeniu wyrazu. Wartość moralna charakteru zależeć będzie w ostatniej instancji od kierunku, który nadamy wrodzonym skłonnościom i popędom. „Ważne jest, nie „skąd przychodzi”, lecz „dokąd idziesz?”. Dzięki swemu kompromisowemu i jedynie, naszym zdaniem, słusznemu stanowisku uniknęła Autorka dwóch krańców: zarówno przesadnego pesymizmu Freuda, jak i nieuzasadnionego optymizmu psychologów amerykańskich, t. zw. behaviorystów, odrzucających dziedziczne zdolności i skłonności i wierzących przeto, że można z każdego normalnego, zdrowego dziecka, bez względu na to, czym byli jego przodkowie, zrobić uczzonego, przemysłowca, lub zbrodniarza, gdyż wszystko zależy jedynie od warunków zewnętrznych.

Na marginesie pracy Doc. Franciszki Baumgarten: O charakterze i jego kształceniu — Poznań — 1937.

STER MŁODYCH

„...DLACZEGO NIE BIJĄ BRZEZINY ZA TO, ŻE BRZEZINA, ALBO JEDLINA ZA TO, ŻE JEST JEDLINĄ I ŻE NIE LUDZIE TO POWIEDZIeli, ALE GŁUPOTA I ZŁY WIATR, CO WIEJE...”
MARIA KONOPNICKA
(z noweli „Mendel Gdański”)

MIGAWKI

Listopad – niebezpieczna pora

Listopad to miesiąc zmian i wspomnień. W listopadzie zmienia się krajobraz; świat traci swą dawną szatę. W listopadzie najczęściej przypada rocznice, obchodów, okazji do wspomnień.

Tegoroczny listopad przyniesie miał wiele nowego. Naprzekór obumierającej naturze miał być miesiącem politycznego ożywienia. W czas zadusznym obrzędów i narodowych rocznic miał pełnić życie społeczne na nowe tory.

Uroczyste złoźnie szło się na groby zmarłych. W cichym, żałobnym skupieniu miały przedpołudnia dni zadusznym. Składano kwiaty, wieńce, gromnice stawiano, odprowadzono nabożeństwa za spokój dusz zmarłych. Nad grobami bojowników słubowano dogonną wierność ideałom.

Wieczorami bywało inaczej. Zwolniona ze szkół młodzież zapomniała o ciszy i spokoju dnia poświęconego zmarłym i demonstrowała swe skupienie przed wystawami sklepów żydowskich.

Rozpoczął się listopad wspomnianiem zmarłych i antyżydowskimi wystąpieniami.

W wystąpieniach antyżydowskich, w działalności palkarsko-pikieterskiej prym wierzają członkowie Stronnictwa Narodowego. W uznaniu ich wielkich zasług w dziele anarchizowania kraju — rozwiązały władze oddziały stożkowe w dwóch powiatach województwa białostockiego. Bohaterzy, opłacani z funduszy partyjnych napotkali w swej dalszej działalności na stanowczy opór władz. Groziło im więc bezrobocie, oni zaś grozili przejęciem do strony przeciwnicy. Sprawy jednak załatwiono cicho i polubownie. — A dziś otrzymujemy wieści z różnych miejscowości, że tam wzmógł się akcja... odżywania, gdyż endecja pracuje celowo, żeruje na łatwiznie zwycięstw.

Stronnictwo Narodowe pracuje intensywnie i nie traci swych sił na marne. To też S. N. nie brała udziału w uroczystościach związanych z 11 listopada.

Akademicy endecy uchwalili rezolucję, w której czytamy: „znając całą wrogość do Narodu Polskiego Żydów (przysław: udział w insurekcji kościuszkowskiej, w powstaniach, w bojach legionowych i nie uczestniczenie w konfederacji tagowickiej!) pamiętając ich wielkie zbrodnie (np.: zabójstwo Prezydenta ś. p. Gabriela Narutowicza!) popełnione wobec Narodu i Armii Polskiej w przeszłości i w dobie obecnej, stwierdza (młodzież akademicka) że Żydzi niezależnie od zajmowanych stanowisk winni być natychmiast usunięci z Armii Polskiej...”

Zapewne rezolucję tę też wysłało do generała Mondy. Wysłało wraz z listem, którego odpis zamieścił „Goniec Pomorski” (Nr. 258). W liście tym czytamy o pozytywnym ich stosunku do armii (ale demonstrować nie chcieli). Ciekawie!, o znaczeniu jednolitej postawy społeczeństwa w razie wojny, piszą: „Musimy liczyć się z tym faktem, że... organizacje, które nie posiadają paragrafu aryjskiego... nie staną w integralnej swojej całości do rozprawy orężnej z wrogami państwa”. Tak to oni piszą do niearyjczyka!

Ale dobrze znają siebie p.p. z S. N. Dobrze znają swoich krzykaczy i wiedzą, że nie wszyscy, nie tylko nie aryjscy — staną na ewentualny zawł! Zdradzili swe oblicze!.

Sily wsteczne w narodzie polskim wierzły, iż w dniu Święta Niepodległości nastąpi konsolidacja reakcji. W dniu 11 listopada miała młodzież zademonstrować swą solidarność z armią i uczucia miłości do wojska. Na demonstrację tę zaproszono całą prawicę; lewica natomiast sama się zaprosiła, sama wyraziła wolę zademonstrowania swych uczuć. I defilada wykazała dobitnie, jak kto się do spraw obrony państwa ustosunkowuje. Tego co wszyscy widzieli żadne słowa zmienić, ani zmylić nie potrafią.

Endecy odmówili brania udziału w defiladzie.

A więc także nie zechcą bronić Kraju!

I ci sami mieli czelność zakłócić uroczystości pochodu okrzykami: „Żydzi na lewo!”, „śmierć Żydom!” Otrzymali — krzykacze — należytą odprawę ze strony oficerów przyglądających się defiladzie. Publiczność też nie podchwytowała tych okrzyków. Lud polski jeszcze raz wykazał, że w tej wojnie po endeckiej stronie stanąć nie chcą. A ponieważ w innych, jak to sami wykazali — endecy udziału brać nie chcą — nie mają oni z masami Polski wspólnego języka. Potwierdzają się słowa Wyspiańskiego, iż są „ubrew uli narodu”. Iż do tych samych co przed laty skierować można słowa: „gotowicie swoją Polskę rzucić i stać po stronie Cara”, i krzyknąć im: „W'y nie wierzyli w Polskę — ? Co? — A ja w nią wierzę!”.

Mijał więc listopad dla jednych świątecznie: uroczystościami, wspomnieniami, dla drugich — jedyną dewizą ich życia — wystąpieniami antyżydowskimi.

„Żydo-komuna”, pacholek żydowski, żydowska podkładka — to argumenty. Jakaś psychoza ogarnęła wielu ludzi światłych, którzy w obawie otrzymania podobnego epitetu uchylają się od odpowiedzialności za humanitaryzm, za poziom (lub może za „pion”) kultury polskiej. Aby nie zostać dotkniętym podobną „obrazą” tysięcy Polaków przeciwnych powstającemu barbarzyństwu nie starają się mu przeciwdziałać. O tym chuligani dobrze wiedzą.

Oto smutny dowód tej prawdy: Po notowanym na tym miejscu wystąpieniu prof. Kulczyńskiego przeciw gettu endecy urządzili demonstrację pod oknami mieszkania rektora. W mieszkaniu znajdowało się chore dziecko profesora, którego stan po demonstracji znacznie się pogorszył.

Widząc takie skutki swego wystąpienia pan prof. Kulczyński zmienił postanowienie i ogłosił plebiscyt nad formami getta na uniwersytecie lwowskim.

Sprawa byłaby przesadzona (znane są sposoby na „rumuńskie wybory”) gdyby endecka bojówka nie rozpoczęła swej działalności zbyt wcześnie. Dzięki więc interwencji nie w porę — plebiscyt odbędzie się pocztą. Ale Żydzi, Ukraińcy i Polacy demokracji udziału w nim brać nie będą. Głosować będą tylko endecy, którzy w międzyczasie udekorowali rektora Kulczyńskiego „żółtą latą”... z jaj.

Panie rektorze! Czy nie lepiej byłoby pozostać w oczach całego społeczeństwa człowiekiem, który w imię ideałów demokracji ustąpił z zajmowanego stanowiska niż człowiekiem, który w imię zajmowanego stanowiska ustąpił z ideałów postępu?

W listopadzie obchodzi się rocznicę zawieszenia broni. We wszystkich niemal stolicach świata odbywają się defilady, przemarsze, uroczystości. W tym roku także obchodzono tę rocznicę uroczystości. W Londynie tylko jakiś szaleniec zakłócił powagę obchodu. Podczas uroczystego milczenia, gdy składano hołd poległym, rozległ się głos: „W chwili, gdy oplakujecie poległych z czasów wojny światowej, przygotowujecie nową wojnę”. Groźnie wdarł się ten głos w ciszę! Straszne to oskarżenie cisnie zostało wszystkim rządcom świata! Głęboko należy zamyślić się nad tym krzykiem szaleńca. Czy naprawdę szaleńca?

Poza tym święto miało przebieg normalny. Uroczystości werały bębny na pamięć pokój i samoloty krążyły nad pobojowiskami świata. Miarowo uderzały o bruk kroki defilujących oddziałów wojskowych i karabiny maszynowe trąkotały miarowo w Hiszpanii, w Chinach, na Bliskim Wschodzie. A echem przemówień był płacz wdów i sierot we Francji i w Hiszpanii, w Anglii i w Palestynie, we Włoszech i Abisynii, w Japonii, w Chinach, w Polsce.

A płacz ten, — płacz matek, wdów i córek — we wszystkich językach świata brzmi jednakowo!

W ostatnich dniach listopada przypadają jeszcze dwie rocznice.

Jedną to chanuka! 2102 rocznica odnowienia!

21 wieków temu walczyli Makabeusze z najeźdźcą. 21 wieków temu krwawiły pola Judei serdeczną krwią Żydów, którzy walczyli Wolną Niepodległą Judeę. A na pamięć ich zwycięstwa znów zapłoną w oknach żydowskich skromne migające świeczki chanukowe.

Dziś znów toczy się walka o Wolne Niepodległe Państwo Żydowskie. Państwo — po raz pierwszy w dziejach świata — nie zajęte mieczem i krwią i ogniem — jeno pracą i znojem! Państwo zdobyte siecią i pokojem — EREC IZRAEL.

Dzisiaj, też przypadająca 29 Listopada — to rocznica powstania 1831. Znow wywiesi się sztandary, znow odbędą się uroczyste obchody. Obchody zrywne, obchody wyzwoleniczej woli i czynu!

A endecy znów udziału nie wezmą. Nie z tego tylko powodu, że świętować będą wicewcy, turowcy — demokraci, ale dlatego, że „powstania Polscy byli robotą Żydów i masonów”. (Patrz H. Rolickiego: „Zmierzch Izraela”). A jakże to razem z Żydami i masonami endecy zasiądą?...

Mija miesiąc zawiedzionych nadziei niedokonanych zamierzeń, nieziszczonych postanowień i czynów hańbę przynoszących, i miesiąc wzniósłych wspomnień, rocznic wielkich porywów, pokojowych osiągnięć.

R. BAUM.

Młodzie rozumem — czy młodzi pięścią?

(w kalejdoskopie poglądów)

Młodzież stała się w Polsce ostatnio modna. I to zarówno w kołach demokratycznych i socjalistycznych, jak i wśród wsteczników narodowych i narodowo-radykalnych. Wierzy się, że młodzi odróżnią kraj w myśl tych, czy innych programów. Przypatrzmy się więc temu, co młodzież sama sobie za cel postawiła, i jak zamierza swe ideały realizować. Prawie wszystkie stronnictwa malują obecnie w różnych kolorach obraz przyszłej Polski i wskazują swej awangardzie kierunek walki. Wobec tego, że młódź reakcyjniejsza najwięcej hałasu dokłada sobie czyni, to ją weźmiemy na pierwszy ogień.

Oddajemy głos najstarszym juweniom — młodym Stronnictwa Narodowego. Oto w Dziale Akademickim „Warsz. Dziennika Narod.” czytamy w związku z 6-tą rocznicą śmierci St. Wałachskiego: „...A pracy jest jeszcze dużo i droga do Wielkiej Polski długa. Po paragrafie aryjskim w organizacjach akademickich przyszło getto, teraz kolej na zamknięcie uczelni dla Żydów, na usunięcie żydowskich profesorów, na spolszczenie historii, literatury, całej nauki...”

„...W pierwszym szeregu walki o odżylenie Polski kroczymy maszą dalej akademicką. I dziś, gdy zwracamy się ku przeszłości, do pierwszej ofiary w walce z zalewem żydowskim, to stwierdziliśmy, że zrobiliśmy już wiele, lecz jeszcze więcej zostało do wykonania...”

W odpowiedzi wyręcza nas wileński „Pax” w artykule J. Świecieckiego: „...Polski program „narodowy” jest tylko o tyle narodowym, że „się przecstawia”, ciągle się czemuś „przeciwstawia”, z czymś „walczy”. A więc z żydokomuną, z szabesgojami, z sanacją, z folksfrontem, ze zgnilizną moralną! Co tworzy? Na to odpowiedź jest najtrudniejsza! Hasła pozytywne jeżeli nawet i są, zostały usunięte na plan dalszy...”

Jakto?! Są przecież hasła pozy-

tywna! Precz z faszystowskimi wrogami Polski! Rozlega się na chodnikach śpiew Czerwonego Sztandaru. Z zaciśniętymi pięściami manifestuje publiczność swą nienawiść do faszystów i entuzjazm dla Polski Robotniczo-Chłopskiej.

„Narodowo-Radykalnych” młodzieńców można też znaleźć pod inną firmą, a mianowicie w „Falandze”. Tu całkowicie już zapożyczyła swą ideologię z zachodu i południo-zachodu. W artykule p. t. „Totalizm nieunikniony” wyrębał pan Jan Szeruda następujące rewelacje: „...W obecnej chwili demokracja w ogóle nie wchodzi w rachubę. Mamy dwie drogi do wyboru: albo totalizm narodowy, albo totalizm folksfrontu, dyktatura jednej „klasy”, czerwona monopartia, uzależniona ściśle od masońsko-żydowskich międzynarodówek...”

„...Przebudowę ustroju może realizować tylko taka grupa, do której komintern nie będzie miał dostępu. Te gwarancje daje Ruch Narodowo-Radykalny...”

— Jak widzimy, pan Jan nie umie, czy też nie chce odróżnić demokracji od socjalizmu, od komunizmu i od masonów, oraz nie ma pojęcia co to takiego ten osławiony „folksfront”. Z takim teoretykiem narodowo-radykalnym nie ma o czym dyskutować. Uczyć go nie będziemy. Odpowiemy mu tylko prze usta „Epoki”, która o dziwo panie. Janie!, totalizmu jakoś nie przewidyj: „...Niepodległość Polski z krwi i trudu inteligencji, robotnika i chłopu. I tylko zespolenie dążeń tych trzech żywiołów, niosących w sobie przyszłość narodu, może dać Państwu polskiemu siłę i obronność, zapewnić postęp i kulturę...”

Zajrzyjmy jeszcze do innego pisma reakcyjnego p. t. „Akcja Narodowa”. Wstępny artykuł kończy się w tej „Akcji” następująco: „...by ukształtować typ nowoczesnego Polaka trzeba wszakże nie tylko energii, nie tylko woli, ale i potężnej my-

narda Jędrzejewskiego, który udowadniał, że Wysza Szkoła Handlowa w Poznaniu posiada wszystkie dane aby zostać szkołą akademicką... Prelegent zaznaczył, że w tym roku nie przyleży na pierwszy rok studiów ani jednego żyda, a dla trzech żydów drugiego roku studiów wyznaczono osobne miejsca...”

— To wszystko przestało już dziwić, ale w artykule wstępnym p. M. Świeciecki napisał coś, co się z tym weale nie zgadza: „...Bo przecież chyba my, wychowani już w wolnej Polsce powinniśmy swoje zadania pojmować bardziej poważnie... i etycznie. Na nas wszak nie ciąży kompleks niewoli, uposzczenia i nienawiści. Skąd więc wśród nas wziął się kult pięści? Skąd propaganda pałki jako ultima ratio?...”

— Czy etyka więc i negowanie pięści i pałki polega na eliminowaniu Żydów z polskiego W. S. H.? coś z tą ideologią nie jest w porządku!

„Pismo chrześcijańskie - demokratyczne ludzi pracy”, „Naród Polski” dba przede wszystkim o kulturę. Uważają, ją, słusznie, za jedno z najbardziej palących zagadnień współczesnej Polski. Tylko że propagowane przez „Naród Polski” podźwignięcie kultury polega na rugowaniu z niej różnych składników. Tak, jak to w tym dowcipie z dziurą: im więcej się jej zabierze — tym będzie większa. „Naród Polski” mówi: „... Najwyższy czas zerwać z niewiarą we własne siły, najwyższy czas wyrugować z życia kulturalnego element rasowo nam obcy, nie rozumiejący ducha polskiej sztuki, jej celów i przeznaczeń, wznoszący esperanto kosmopolitycznej sztuki(?) paryskiej(?) jako wartości najwyższą...”

Dobrze, że „Naród Polski” nie reprezentuje Narodu Polskiego.

Dość już tej obłądki i zakłamania reakcji i wstecznicwa!

SIGNATOR.

Zanućmy piosnkę chanukową!

Andante / con moto / „Nigot dolkim”
muż. Jakuba Głazowskiego
słowa Lewina Hajprisa

1. Nigot dol kim nigot da kim al kel cha lan-bar chow ni sim bor kim u
2. rim za kim bi nmej ha tehel la nu ki ba ze chag ha cha nu ka cha gey nu
3. chag-ha or sim car o jow go nan hu ka u la nu - ba ha dror
4. ka cha gey nu chag ha or sim car o jow u la nu ba ha dror

...דור דור
עם צר אויב גורש, הובח
ולכו בא תדרור
אל האורות הנצחיות
בבית כל ילד חז
עובי חולד ניצח
ברוח של חג

נרות הללו, נרות דקים
על כל הלוח ברחוב
אורים ברוקים, אורים זכים
בשבת תהנה לרוב
כו בא ית חג התקווה
חגנו חג האור

tywny, „Pax” się myli! Jest „Wielka” Polska, Polska getta, „spolszczonej” historii, literatury” i w ogóle „całej nauki”, Polska pod wodzą mecenasa Kowalskiego! Czyż to nie piękne hasło pozytywne? Tymczasem zaś (prawdopodobnie jest to jeden z punktów realizacji „Wielkiej” Polski. Stronnictwo Narod., nie wzięło udziału w defiladzie listopadowej, bo... Żydzi, „so-cjalżydokomuna”, i w ogóle...

Lepiej natomiast sprawili się młodzieńcy narodowo - radykalni z pod znaku „ABC”. Defilowali aż miło. Bo proszę posłuchać, jak chwalą „ABC” swych pupilów: „...Publiczność zgromadzona wzdłuż trasy przemarszu zgłotowała młodzieży akademickiej wszędzie owaciny przyjęcie, wznosząc okrzyki na cześć ruchu narodowo-radykalnego...”

— Słyszycie państwo? Bo widać to przecież jak w kinie! Tłumy publiczności ryczą i szaleją, po prostu dławią się z uciechy narodowo - radykalnej. Publiczność chce ponieść na rękach juniorów narodowo - radykalnych, lecz nie może, bowiem są oni zbyt otyli...

Sprawdźmy lepiej, co mówi o tym „Robotnik”: „...Na Nowym Świecie grupę studentów, śpiewających Hymn Młodych, powitano okrzykami: Przecz z agentami Hi-

numerze pan Z. Wojciechowski w następujący sposób zrozumiał powyższy renesans: „...Mussolini apeluje do złoży poczucia narodowego tworzonych od czasów rzymskich, z nich czerpie moc i stwarza swemu narodowi nową świetną epokę. O te złoże idealizmu i spirytualizmu uderzyć też musi państwo polskie, z nich wziął swą siłę. Jest dziecinny nonsensem, albo złą wolą, formułowanie wszelkich programów państwowych w oderwaniu od zasady naszej politycznej. Głosimy zatem konieczność renesansu myśli politycznej...”

— W tymże rodowej...”

Pan W. sądzi, że na renesans mają monopol tylko Włochy i dlatego do nich sięga po ideologię, ale „idealizm i spirytualizm” Mussoliniego jest już b. stary i nie tylko, że ludzkości nie zbawił, ale unieszczęśliwił kilka narodów. Może więc odbierzemy Włochom monopol i sami stworzymy coś lepszego, panie W.?

— I mniej faszystowskiego, panie W.?

Ciekawych rzeczy dowiadujemy się też z „Dekady”. W dziale „Ze środowisk akademickich” czytamy pod tytułem „Poznań upomina się o swoje słuszne prawa”.

...Bratnia Pomoc W. S. H. zwołała więc w sprawie nadania pełnych praw akademickich dla Szkoły, z referatem kol. Ber-

HERE ENGLISH SPOKEN

Lekcja VII.

SEVENTH LESSON
(sEwents lesn)

Liczbę, które poznaliśmy w poprzednich lekcjach, potrzebne nam będą teraz do podziału dnia na godziny.

VOCABULARY
(wokEbjulery) — słownik.

THE SECOND (dze seknd) — sekunda

THE MINUTE (dze mYnyt) — minuta

THE HOUR (dze aur) — godzina

THE DAY (dze dej) — dzień (doba)

THE WEEK (dze uYk) — tydzień

THE MONTH (dze mants) — miesiąc

THE YEAR (dze jir) — rok

THE CLOCK (dze klok) — zegar wiszący

THE WATCH (dze uOcz) — zegarek kieszonkowy

THE EXERCISE (dze Ekserisajz) — ćwiczenie

TO MAKE (tu mejk) — czynić, robić

O godzinę pytamy w sposób następujący:

WHAT O'CLOCK IS IT?
(uot oklOk yz yt?)
Która godzina?

Uwaga: Pytanie powyższe znaczy dosłownie „o zegaru jest?” — „ile jest na zegarze?”. W wolnym przekładzie: która godzina?

What time is it?
(uot tajm yz yt?)

Która godzina? (dosłownie: „Jaki to jest czas?”). O pełnych godzinach (bez minut) musimy odpowiedzieć:

It is one o'clock (uAn oklOk) — pierwsza godzina

It is two o'clock (tu oklOk) — druga godzina

It is three o'clock (tsri oklOk) — trzecia godzina

It is four o'clock (foor oklOk) — czwarta godzina

It is five o'clock (fajw oklOk) — piąta godzina

It is six o'clock (syks oklOk) — szósta godzina

It is seven o'clock (sewn oklOk) — siódma godzina

It is eight o'clock (ejt oklOk) — ósma godzina

It is nine o'clock (najn oklOk) — dziewiąta godzina

It is ten o'clock (ten oklOk) — dziesiąta godzina

It is eleven o'clock (yl Ewn oklOk) — jedenasta godzina

It is twelve o'clock (tu Elw oklOk) — dwunasta godzina

MAURYCY SZYMEL

Książka na prowincji

— Pogadanka —

A oto spadł pierwszy śnieg. Przez noc drzewa posiwiały. Kładka na rzeczulce pokryła się oślizgłym szklawem gołoleddzi. Miasteczko przykuło i skuliło się pod rozchwieją zadymką.

Taka szaruga! Tak! wiatr!

O zmierzchu zatraskują się okiennice. Uliczki pustoszeją. Ciemność nocy zimowej wyjeżdża triumfalnie na białym koniu wicherzycy.

Świat zamyka się w czworościenne izby. W piecu trzaska ogień. Syczy czajnik. Jest ciepło i zacisznie.

Czym wypełnić czas dłużący się w wicherze wieczorów zimowych? Zagramy w brydża? Dobre i to. Pogawędzimy o polityce? Ej... nie psujmy sobie lepiej tej ciszy i tego spokoju. Zamknęliśmy przecież okiennice przed wicherem? Jak długo wicher nie zrywa nam okiennic siedźmy i pijmy ciepły napój ciszy syczącej czajnikiem...

A więc co? Gości dziś nie mamy. Každy siedzi u siebie. Na taką pogodę żal nawet wyznać psa...

A więc... Jeśli nie przyszedł mecenas, jeśli prowizor z apteki też uważał za stosowne nas nie odwiedzić, to o brydżu nie ma mowy. Musimy zadowolić się towarzystwem... „Freji z dalekich wysp”, albo... „Anny Kareniny”...

— Ależ panie! Co pan plecie? To są książki stare. Ja szukam nowości.

— A czy — jeśli wolno zapytać — czytała pani Tolstoja i Conrada?

— Nie czytałam. Ja szukam w wypożyczalni tylko nowości... Sergiusz Piasecki na przykład — jak to się tam nazywa... ta jego książka o kochankach...

— Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy? Czy tak?

— A właśnie! To musi być dobre. Ty-le o tym czytałam.

— Hm... Może i dobre, ale... wołę Conrada. I Tolstoja wołę...

— I pana to jeszcze interesuje?

— Tak jak wschód słońca, choć stary on jak świat... Bo widzi pani, mnie się wydaje, że tyle jeszcze pozostało nam arcydzieł z dawnych czasów, że... z Piaseckim moglibyśmy poczekać.

Przecież! konsumenci beletrystyki rozpoczynają zawsze historię literatury od roku wydrukowanego na ostatnim wydawnictwie „Raju”. A potem mówią, że „to dobre”. Nie przeczę, że „nowości” mogą być ze wszechmiar ciekawe. Poruszają wszak problemy dotykające nas bezpośrednio swoją aktualnością — powiedzmy dziennikarską, ale...

— Ale co?

— Chodzi o to, aby wprę wprę, czego epoka nie zmienia, aby oprę się na czymś, co posiada cudowną moc przetrwania...

— Cóż mnie obchodzić może historia książek rosyjskich, sentymentalizm rozpierzchnych arystokratów z czasów carskiego imperium.

— Cóż obchodzi panią jej tęsknota i jej ból własny, jej marzenia i to wszystko, co rozspalało się w grzyzu a było tak kochane, tak...

— Nie rozumiem.

— Tolstoj sławny jest nie dlatego, że nazywa się Tolstoj, ale dlatego, bo utrwalił oprę swej epoki — dziś już, rzecz jasna, nieco przestarzały — wieczny ból mężczyzn i kobiet, tragiczne a zawsze aktualne zmaganie się z życiem, z przeznaczeniem...

— A skąd pan wie, że za sto lat nie powie ktoś tak... o Piaseckim, o Zweigu, o Feuchtwangerze, o Aszu...

— Jeśli kto za sto lat powie to samo np. o Piaseckim, to nie będzie miał na myśli fotografii jego opowieści. Bo fakt, że ci i ci przemysłnicy przekraczali nielegalnie granicę polsko-sowiecką ma znaczenie czysto kronikarskie i to w znaczeniu gazeciarskim, — czyli, że cała ta zwana aktualność Sergiusza Piaseckiego ograniczałaby się zaledwie do 20 wierszy w którymkolwiek dzienniku i na tym — koniec.

Jeśli o Piaseckim będzie mowa za sto lat, to tylko dzięki tym walorom, które wykraczają poza obręć aktualności kronikarskiej...

— Czyli co?

— Czyli dzięki namietnościom przewalającym się w duszach jego bohaterów. Człowiek szuka solidarności w cierpieniu, solidarności poprzez przetrzeń i czas... W „Salambo” Flauberta — nie bacząc na dekoracje starożytności, dzieją się rzeczy w duszach bohaterów wstrząsające do głębi nawet najnowocześniejszym człowiekiem, a balzakowski

„Ojciec Goriot” wzrusza nas swym koczmarnym cierpieniem jak każdy współczesny stary sterany życiem ojciec.

— Więc co?

— Więc niech się Pani nie martwi, gdy w wypożyczalni powiedzą pani, że „Ferdynand” są zajęte lub, że ostatnia nowość Kuncewiczowej czy Piaseckiego jest „w czytaniu”. Niech pani śmiało zażąda „Murzyna z Zalogi Narcyza” lub „Wojnę i pokój” lub „Martwe dusze” lub... lub... Odyssej! A tak! Proszę się nie wstydzic panienki z kontuarem.

— — — — —
— — — — —
— — — — —

Wielkim pisarzom ubiegłych wieków smutno jest na zakurzonych, mrocznych półkach. Wielcy pisarze ubiegłych wieków tęskną do ciepłych żywych rąk człowieka współczesnego, do jego zachwytem zamyślonych oczu, do jego ciepłego oddechu... Nie chcą oni pozostać tylko wielkimi nazwiskami, latniami które płoną na samotnych drogach do których nikt nie dobiega...

— — — — —
— — — — —
— — — — —

Posłannictwo wielkich pisarzy ubieg-

B. Lewitówna

28 lat życia

(O Zbigniewie Uniłowskim)

Talent Zbigniewa Uniłowskiego wybuchł niespodziewanie, jaskrawo i ostro. I niespodziewana była jego śmierć, przecinająca jak ostrzem lancetu coraz bardziej krystalizujące się i dojrzewające jego piarstwo.

Nie czas jeszcze na bilans ostateczny, na podsumowanie wyników tego życia, na beznamietne stwierdzenie jak wiele zamknął w tych nie wielu latach życia i pracy i jakie mu przypadnie miejsce w oficjalnej historii literatury polskiej. Teraz stwierdzić można jedno tylko, że w sercach swoich czytelników zajął miejsce ważne i istotne, że śmierci jego niespodziewanej i tragicznej towarzyszył żal serdeczny i smutne zamyślenie ludzi obcych i dalekich nawet od jego piarstwa i mentalności.

Dwadzieścia osiem lat życia. A było to życie pracowite i trudne (choć Uniłowski pokonywał je z uśmiechem i wdziękiem), była to walka z losem, z sytuacją społeczną, walka o własne tworzywo, własny wyraz i artystyczną prawdę. I bez patosu i fałszywego zakłamania, towarzyszącego tak często wypowiadaniom, trzeba stwierdzić, że Uniłowski z walki tej wyszedł zwycięsko, że nie dał się ponieść fali łatwego powodzenia i do końca życia dochował wiary jednemu tylko celowi: czynić swoją sztukę coraz doskonalszą, bardziej dojrzałą i pełną. Nie wybrał żadnej strony barykady. Wybrał życie. Można się z stanowiskiem jego zgadzać lub nie, ale trzeba przyznać, że to co robił, robił konsekwentnie, że do końca pozostał wierny sobie. Ten „nieuk”, samouk, rozglądający się dokoła łakomymi ciekawymi oczyma małego sprytnego wojennego dziecka, chwytal życie na gorąco, bezpośrednio i naiwnymi oczyma umiał zobaczyć to, co nie zmieści się w ramach zamkniętej teorii czy doktryny. Wiedział, że najważniejszą sprawą jest sprawa człowieka. W ostatniej, niedokończonych książce pisze: „Tylko niech mi ciągle nie wmawiają, że człowiek to marna istota i nic wiedzieć nie powinna... A ja właśnie chcę wiedzieć... Mięsa z chlebem i wiedzy... psia jego mać... Chcę do życia. I fajrant. Nic więcej.”

To właśnie ostre widzenie życia uchroniło go od literackiego zakłamania, pozwoliło zobaczyć jeśli nie wszystko to wiele spraw takimi jakimi są naprawdę, uczyniło prozę jego prostą i zwartą, niesentymentalną i trafną. Nauczyło, że „kamizelka” to jest właśnie kamizelka, „buty” to buty, że życia nie pisze się przez wielkie Z, lecz się je czuje i przeżywa.

Pięć książek. Tak, ale to nie tylko pięć wyczyn ilościowy. Tych pięć książek to droga rozwoju bogatego talentu o naprawdę dużych możliwościach. To jeszcze nie głębia, sięgająca do trzewi najsmutniejszych spraw ludzkich, to na razie szeroka, coraz mocniej płynąca rzeka epicka, ale to możliwość tej głębi i pełni, to coraz głębszy i dojrzalszy nurt, coraz trafniejszy i celniejszy sposób widzenia. Tej wezbranej rzeki życia śmierć położyła tamę.

W pierwszej książce Uniłowskiego

tych wieków nie skończyło się wraz z dyktansem i krynoliną.

Wielkie umiłowanie świata i człowieka, magazynowane w ich pozornie starych książkach burzy się i wre... Lotnik zsybiący nad płaszczyznami globu ma to samo serce, co człowiek z przed dwustu lat i tak samo nie może uporać się z życiem i śmiercią, jak ludzie Twaina, Poe, Dickens czy Wild’a. Przywróćcie życie starym mistrzom, dajcie im możliwość oddziaływania... Obudźcie zaklęciem śpiącą Królową Piękną...

W zamartwychwstaniu starych mistrzów odzyskanie młodość dusz waszych, wróci wiosna Toma Sawyer’a, wiosna Guliwera i nastrój bajek Oskara Wilde’a.

— — — — —
— — — — —
— — — — —

Śnieg sypie, jak w powieściach Dostojewskiego. Kładka na rzeczulce jest białusienka jak sen dziecienny. Drzewa kiwają mądrze białymi głowami, że wszystko się powtarza jak ranki i wieczory... Jak śnieg i pierwsioński.

Jest cicho.
Jest zima.

(„Wspólny pokój”) towarzyszył posmak przykrego reklamarskiego nieco skandalu literackiego, który pogłębiła niepotrzebniejsza w świecie (uchylona zresztą później) konfiskata książki. Książka ta o nienajlepszej wartości artystycznej zjednała Uniłowskiemu wielu przyjaciół i wielu wrogów. Byli również i tacy, którzy sądzili, że przyjaciele przyniosą Uniłowskiemu więcej szkody niż wrogowie, że na „Wspólnym pokoju” Uniłowski się skończy. Nie musiała jednak atmosfera tego pokoju wspólnego być aż tak dusząca i ludzie zamieszkający go aż tak beznadziejnie marni jak to przedstawiał Uniłowski, skoro z tego właśnie pokoju wyszło kilku dobrych poetów (że wymienię tylko Szenwalda i Dobrowolskiego), skoro wyszedł zeń i pozostał daleko za sobą sam Uniłowski. Nie, nie kończył się na „Wspólnym pokoju”. Nie zaskodziło mu najniebezpieczniejsze dla debiutanta... powodzenie. Że nie doznał zawrotu głowy z powodzenia świadczy dystans artystyczny i intelektualny, dzielący „Wspólny pokój” od „Dwudziestu lat życia”.

Ta daleka i trudna droga, przebyta w tak krótkim czasie, znaczone punktami trzech jeszcze innych książek (m. inn. dobrym i ciekawym tomem nowel „Człowiek w oknie”) i osiągnięta swój do czasu punkt szczytowy w „Dwudziestu latach życia”, to świadectwo uczciwej i rzetelnej, sumiennej pracy nad sobą i swoją sztuką pisarską.

„Dwadzieścia lat życia” znamionuje już talent dojrzały i krzepki. Książka ta zawiera stronicę doskonale, mistrzowskiej niemal prozy (świetny, niezapomniany opis deszczowego pogrzebu Anny i stypy rodzinnej) wolna od łatwizny sentymentu i zakłamania, uderza szczerością i bezpośredniością przeżycia, nie okłamuje hurra-patriotyzmem, nie nadużywa i nie szarga słowa ojczyzna, jest pełna umiaru i taktu.

I jeszcze jedno: dla nas, dzieci wojny, jest najwierniejszym opisem naszego własnego dzieciństwa, jego niepewności i tymczasowości, całego nerwowego chaosu tamtych, pomimo wszystko szczęśliwych „szczęśliwych lat”.

Nie przeczytamy drugiego tomu tej powieści. Trudno się z tym pogodzić. Życie Kamila Kuranta urwało się po jedenastu latach. W ciasnej i dusznej izbie Powiśla, które przecież tak bardzo znał i kochał. Dorosły Kamil - Zbigniew żył przeciw dalej, ale życie to trudne i skomplikowane zostało dla nas zamknięte na zawsze. Pamiętamy tylko, że i matka Kamila, smutna i tragiczna pani Anna Kurant, też zmarła w dwudziestym ósmym roku życia. Na gruźlicę. Jej syn uniknął gruźlicy. Zaleczył ją. Poraziła go niespodziana tragiczna choroba. Zmarł w dwudziestym ósmym roku życia. Na zapalenie mózgu. I pozostały po nim słowa, że „życie jest pełne smutku, trzeba przynusiem stwarzać sobie radość, może to i przyjemnie usnąć sobie na zawsze”. I pozostała świadomość, że wśród młodych prozaików polskich zajmował jedno z pierwszych miejsc. Pozycję odrębną, wartościową i ciekawą.

LEOPOLD GAJZLER

FERDYDURKE*)

W roku 1933 zadebiutował Gombrowicz zbiorem nowel. W nowelach tych zarysowała się już wyraźnie dyspozycja autora do połączenia — jak określa Piwiński — grozy i niesamowitości „w stylu Poeo z groteskową, zawrotnie karykaturalną przesadą”. Koncepcję artystyczną, stosowaną fragmentarycznie, powiedziałbym, nieśmiało w nowelach autor pogłębił w książce swojej „Ferdynand”. Mówię książce — jest bowiem nieco trudno zastosować tu jakiegokolwiek nomenklatury literackiej i trzeba się zgodzić z samym autorem, że właściwie trudno określić, czy dzieło to jest „powieścią, pamiętnikiem, parodią, pamfletem, wariacją na tematy fantazji, studium i co przeraża w nim — żart, ironia, czy głębsze znaczenie, sarkazm, persiflaż, inwektywa, bzdura...” Autor zsyntetyzował wszystkie przeżycia wymienione „możliwości, definicje i części”, dając świadomy amalgamat wszystkich rodzajów i form literackich, poczynawszy od studium w postaci analizy struktury artystycznej, a skończywszy na najblaszym żarcie lub dowcipie.

Gombrowicz pokazał nam deformację życia w załamaniach krzywego zwierciadła. Uczynił to po przez eksperyment, który nie miał na celu może nic innego, jak demaskować wszystko, co perfidnie kryje i zasłania się — ukonkretyzować pewne zjawiska psychosocjologiczne, które przeżywa się w sobie intelektualnie, ale nie ma się odwagi spojrzeć na nie gołym okiem. Jednak analiza, dysekcja szczegółów i szczegółów życia prowadzi do hamletyzmu, a stąd prosta droga do rozpaczliwego wątpienia w pozytywne wartości biologicznego procesu zjawisk życiowych. Ze wątpienia zaś, z negatywnego stosunku do wszelkich norm społecznych, z analitycznego sceptycyzmu wywodzi się asocjalny nihilizm. Tak. Krytyka istniejących zjawisk i praw społecznych jest koniecznością w postępie życiowym, ale analiza, której celem jest wyłącznie doszukiwanie się prowadzi zawsze do wątpienia, do rozpacz — wtedy szuka się „ucieczki przed człowiekiem”, a tragicznie staje się to, że „schronić się można jedynie w objęcia innego człowieka”.

Zresztą, subiektywne moje uwagi, wypowiedziane raczej na marginesie książki, nie zmieniają postaci rzeczy, że autor Gombrowicz jest ciekawym eksperymentem literackim. Ciekawa jest zarówno kompozycja, jak i forma, która w oryginalny sposób wiąże w logiczną całość izolowane, niezależne części fabularne.

Rozpoczyna autor swoją opowieść od psychoanalizy stanów i uczuć głównego bohatera, trzydziestoletniego Józia. Ten „trzydziestak” (a właściwie sam autor) miał sen, w którym „ujrzał siebie takim, jakim był, gdy miał lat piętnaście i szesnaste”. Józio miał właściwie trzydziestkę tylko „na jawie”, z pozoru wyglądał na człowieka dojrzałego, a jednak nim nie był. Nie miał bowiem określonego celu, nie miał „pozycji” życiowej i dlatego sam nie wiedział, „czy jest człowiekiem, czy chłystkiem”. Ponieważ „ciotki” zawyrokowały, że „mężczyzna winien w sobie zabić nieutulone z żalu chłopię”, więc postanowił „wejść w życie dorosłych i rajcować z nimi”. Napisał książkę, którą nazwał „Pamiętnik z okresu dojrzewania”.

Taką autocharakterystyką, która miejscami przechodzi w autopamflet, rozpoczyna się szkielec naracji.

Książka Józia „była trudniejsza, drażliwsza od konsekwencjonalnie dojrzałej nlektury”. Dla czytającego ogółu była „zbyt subtelna”. Najgorsze były jednak sądy „głotek kulturalnych, tych licznych ćwierćautorek i doczepionych półkrytyczek, wypowiadających sądy swe po czasopismach”, bo nie ma — według autora — nic straszniejszego, jak „znaleźć się na warsztacie kulturalnej ciotki i być spreparowanym niemo i bez jęku przez te ich mentalność trywializującą i odbierającą życiu wszelkie życie, — kto nie przeczytał o sobie w gazecie ciotecznej sądu, ten nie zna drobności, ten nie wie, co to jest drobnośćka w ciocie”.

Gdy Józio pisze drugą książkę, w której pragnie „stworzyć własną formę”, zjawia się nauczyciel, profesor Pimko. Pimko, banalnie, po belfersku, przejrzał manuskrypt Józia, po tym zadał mu szereg pytań z zakresu programu szkolnego, a gdy „trzydziestak” nie potrafił dać ani jednej odpowiedzi — Pimko udzielił go.

Józio, coraz bardziej uległy „zdrabnianiu”, aż stał się 17-letnim Józieczkiem — wtedy Pimko zaprowadził go do szkoły dyr. Piórkowskiego.

Józio-autor doszedł do rozdwojenia własnej osobowości na aktora i widza, teraz jeden sądzi drugiego, jeden systematyzuje czyny, wrażenia i uczucia drugiego. Trzydziestak patrzy na swój stan infantylny z perspektywy różnicy lat — przenosił się bowiem w czasy młodości, czasy „przebrzmiały i anachroniczne”, gdzie „wszystko krępuje, żenuje i dusi”.

W szkole Pimko i dyrektor kierowali się metodą unaiwniania i zdzienniania młodzieży, insynuując im podobne problemy. Szczególnie Pimko „z maestrią, ce-

chującą jeno najznakomitszych i najwytrawniejszych belfrów” uwikłał młodzież „w dialektykę i problematykę możliwie najbardziej udzienniającą”.

Pimko, jako prawdziwy belfer z powołania pragnąłby cały świat udziennić, według niego „dorosli, sztucznie zdziennieni i zdrobnieni, stanowią lepszy element, niż dzieci w stanie naturalnym”. Dla zrealizowania swojej metody dobiera Pimko odpowiednich nauczycieli, którzyby potrafili wszczepić w uczniów niedojrzałość, nieporadność, niezręczność, nieumiejętność życia, bowiem tylko „zapomocą odpowiednio dobranej personelu zdolamy utracić w zdziennieniu cały świat”. Nauczyciel powinien być odpowiednio głupi, nudny, banalny i tępy, by zakwitły „w pełni krosty wieku niewdzięcznego”.

Autorem ilustruje niektóre lekcje. Lekcja np. polonisty, Bładaezki. Nauczyciel czyta z programu temat, jaki powinien być na lekcji omawiany: „wytłumaczyć i objaśnić uczniom dlaczego Słowacki wzbudza w nas miłość i zachwyt”. Analiza Bładaezki kończy się na odpowiedzi: „dlatego, panowie, że Słowacki wielkim poetą był”. Więcej mówić nie wolno. Należy się niewolniczo trzymać programu. Żadnego zindywidualizowania tematu. Każda samodzielną myśl ucznia traktowana jest jak przestępstwo.

Podczas pauz bawi się młodzież na placu. Matki z zadowoleniem patrzą przez płot na zinfantylizowanych pedagogicznie synków i cieszą się z naiwnością swych dzieci. Pauza jest jedynym czasem kiedy młodzież wyzwała się z pęt belferskiej obłądy, belferskiego fałszu — daje ujście prawdzie, która obława się we własnych słowach i we własnych grymasach. Całą jednak treść życiową zawarły te zminiaturyzowane przez belferów figury w słowach i grymasach. Traktowani bowiem wciąż „pedagogicznie” zatracili uczniowie wszelki kontakt z życiem i z rzeczywistością, stąd pojedynek partii „chłopaków” z partią „chłopiów” jest pojedyńkiem na frazesy i grymasy. „Chłopaki”, na czele których stoi Miętus, reprezentują frazes brutalny, pospolity, można by rzec demokratyczny, „chłopiów” natomiast, z Syfonem na czele, głoszą hasło frazesu niewinnego i wzniosłego. „Bój” toczy się o taki lub inny frazes lub grymas i oto wszystko. Tak — według autora — człowiek w zaraniu wsiąga we frazesy i w grymasy, w takiej kuźni wykuwa się dojrzałość nasza”.

Bezmyślność, oblawiająca się w grymasie i frazesie, oblawiała wszystkie dziedziny życia. To też polemiki powag naukowych, polemiki badaczy i szperaczy są jedynie pojedyńkami na frazesy. Filidor-syntetyk i Antyfilidor — analityk są tak samo zinfantylizowani jak młodzież w szkole Pinki. Ich „bój śmiertelny” jest tak samo śmieszny i groteskowy jak „bój” Syfona i Miętusa.

Ta infantylizacja wkraśnia się również tam, gdzie ludzie uważają siebie za bardzo współczesnych, tam, gdzie matki, w imię współczesności, uważają miłość seksualną swoich córek-pensjonarek, za naturalną.

Takie jest oblicze inteligencji miejskiej. A wieś? Józio i Miętus, szukający „zbratania” z parobkiem, udają się na wieś. Spotykają chłopów. „mopi kryją się przed nimi, „szczekają” na nich, chcą ich gryźć — każdego człowieka w krawacie uważają za urzędnika podatkowego.

Wreszcie Józio wraz z Miętusem przybywa do swego wuj-ziemiannina. Ludowo-sentymentalny Miętus znajduje tu swojego upragnionego parobka, z którym zaczyna się bratać. Wuj narazie myślał, że ma przed sobą pederastę — imponowało mu to, „bo wiem książkę również...” ale, gdy dowiedział się, że chodzi o uczuciowy, bratni stosunek do parobka zaczęła się w nim burzyć rasa. „Pan, któremu historia w nieublaganym pochodzie odbierała włości i władzę, pozostał przecież rasowy duszą i ciałem, zwłaszcza ciałem. Mógł wytrzymać reformę rolną i ogólnikowe prawno-polityczne zrównanie, ale burzyła się krew na myśl o osobistej i fizycznej równości z ludem”. Ale i parobek, choć za plecami pana wymienia się z niego, nie rozumie innego języka jak pieśń. Stąd w atmosferze ziemianstwa panuje w całej rozciągłości tradycjonalizm i „hulajgębstwo”.

Parobek pozwała się bić — między nim, a panem istnieje mistyczny dystans, który jest dla pana gwarancją posłuszeństwa i uległości. Wystarczyłoby jednak żeby tylko raz „ręka sługi spadła na pańskie oblicze”, a parobek przestałby się bać, „pękłaby mistyczna klamra”.

Tak się przedstawia z gruba dzieło Gombrowicza. Dał parodię, zakrojąc na szeroką skalę — wydobyl na wierzch dysporcję i niekształtności życia społecznego — rzucił w twarz ludziom impertynencję — suchy nitki na nikim nie zostawił. Odnosi się jednak wrażenie, że to parodiowanie „porządku społecznego” jest dla autora celem samo w sobie, a nie środkiem dla osiągnięcia pewnych, powiedziałbym, korygacji.

Zresztą cokolwiek i jakkolwiek autor napisał — to osiągnął efekt artystyczny wysokiej miary przez stosowanie odpowiedniego doboru słów i zwrotów, przez odpowiednienie, umiejętne transponowanie tonu uroczystego na ton trywialny, co jest, według Bergsona, fundamentalnym warunkiem parodii.

*) „Ferdynand”. Witold Gombrowicz. Tow. Wydawn. „Rój”. 1938. Okładka i ilustracje w tekście Brunona Schulza.

ANTENA SWIATA

Bajki antyfaszystowskie

Antonio Roblece otworzył na jednej z głównych ulic w Walencji księgarnię, w której sprzedawane są wyłącznie książki dla dzieci w przeróbce samego właściciela. Można tam za parę groszy dostać „Tamcia-Palucha”, „Czerwony kapturek” i cały szereg innych, przerobionych z tym zamiarem, aby wszczepić dzieciom nienawiść do faszystów.

Na okładce bajki „Czerwony kapturek” widać dziewczynkę w czerwonej czapce, a przed nią wilka, głowę którego zdobi swastyka.

Kraj stulatków

Według danych statystycznych Bułgaria jest najzdrowszym krajem na świecie, z największą liczbą stuletnich starców i staruszek. Obecnie mamy w Bułgarii na milion mieszkańców 426 osób, mających pełne sto lat. Drugie miejsce zajmuje Kolumbia, gdzie na milion mieszkańców jest zaledwie 311 stulatków; w Brazylii — 40 osób, w Szwecji 65, w Belgii 25, w Niemczech 2, w Szwajcarii — 1.

W Anglii, Francji, Polsce i innych krajach liczba ludzi stuletnich jest tak minimalna, że statystyki jej prawie, że nie notują.

Ślub króla pomadki

W New - Jorku przed paru dniami ożenił się po raz piąty Leslie Jonghasbaud, król pomadki do warg, bogacz, który dorobił się olbrzymiego majątku.

Leslie oświadczył dziennikarzom, że po czterech nieudanych próbach, znalazł nareszcie idealną żonę. Idealem tym jest pewna tancerka z teatru w Chicago, która z kolei, wychodzi zamąż po raz wtóry.

Do willi Leslie w dniu wesela, przybyła cała masa nieproszonych gości, tak, że gospodarz wraz z całą masą lokajów musiał ścigać ich po całym domu, aby się natrętów pozbyć. W liczbie zaproszonych znajdowały się poprzednie żony Leslie, otrzynujące od niego stale hojne alimenty.

„Świat jutra”

Tak brzmi oficjalna nazwa wszechświatowej wystawy, mającej się odbyć w New-Jorku w 1939 roku. Data otwarcia została ostatecznie wyznaczona na 30 kwietnia. Wystawa zajmuje powierzchnię 500 ha i kosztować będzie powyżej 3 miliardów franków, t. j. dwukrotnie tyle co paryska.

H. Linde

Wrost przestępczości w Niemczech

(Dokończenie ze str. 4.)

wzrost liczby występów przeciwko obywatelności. A cyfry te przedstawiają się następująco:

	1934	1935	1936
w Berlinie	22	49	72
w Hamburgu	26	37	107
w Lipsku	26	21	47
w Norymberdze	10	15	25
w Mannheim	10	22	48

Fakt podniesienia się liczby tych występów tłumaczy autor tym, że się je baczniej śledzi, tym, że rozszerzono postanowienie o karach, zawarte w paragrafie 175 StGB. i t. d. Znana rzeczą jest jednak, że właśnie w wyższych kołach wśród „przywódców” Młodzieży Hitlerowskiej grasują karalne na podstawie obowiązujących praw perwersje, w które władze nie wazą się wcale wdawać. Tak katolicki „Deutsche Weg” swego czasu podał imienną listę funkcjonariuszy Młodzieży Hitlerowskiej, którzy dopuścili się całego szeregu występów przeciwko obywatelności. Niema mowy o jakiejś stanowczej ingerencji w wypadkach, kiedy się nie ma do czynienia z inscenizowanymi procesami w sprawach seksualnych przeciwko duchownym katolickim. Ukaranych zostało na zasadzie paragrafu 176. (nierząd z dziećmi poniżej lat 14) w 1933 5.442 osób, w 1936 — 7.010; na zasadzie paragrafu 182 (uwiedzenie niewinnych dziewcząt poniżej lat 16) w 1933 — 110 osób, w 1936 natomiast 159. (Nota bene: w celu ustalenia wzrastającej liczby występów, popelnionych wobec dzieci, zostały na podstawie rozporządzenia ministra sprawiedliwości z dnia 9 sierpnia 1937 utworzone przy sądach ziemskich t. zw. Jugendchutzkammern.

Uderzająco wzrosła liczba obrażeń cielesnych, np. w Berlinie (od 1934 do 1936) z 30 do 75, w Hamburgu z 21 do 47, w Lipsku z 5 do 39, podczas gdy liczba wypadków kradzieży, rabunku, mordów rabunkowych i zabójstwa w istocie pozostała bez zmiany.

Nie udaje się autorowi wyjaśnienie

Każdy pawilon cudzoziemski musi mieć nie mniej niż 10 m. wysokości. Jak informują gazety amerykańskie wystawa winna pod wszelkimi względami pobić wszystkie istniejące dotychczas rekordy.

Spór o zegarek

W rzeźni budapeszteńskiej zarznięto cielaka, w żołądku którego znaleziono złoty zegarek. Rzeźnicy zabrali zegarek uważając, że należy do nich. Handlujący mięsem oświadczył, że według prawa zegarek należy do niego, gdyż jest właścicielem cielaka. Wiadomość o tym dotarła aż do chłopca — poprzedniego właściciela, który z kolei wystąpił ze swymi pretensjami, twierdząc, że gdy sprzedawał cielaka to zegarek nie był brany pod uwagę. Ponieważ żaden z zainteresowanych nie chciał się zrzec swych praw, postanowiono skierować sprawę do sądu. W międzyczasie zjawił się jeszcze jeden pretendent, twierdząc, że bezwzględnie zegarek jest jego własnością, gdyż cielak pał się wyłącznie na jego łące i tylko tam mógł poiknąć zegarek. Zanim sąd wyda wyrok w tej zawiślanej sprawie zwrócił się sędzia do mieszkańców fermy, gdzie rósł cielak zapytaniem czy przypadkiem któryś z nich nie zgubił złotego zegarka. Może w ten sposób odnajdzie się rzeczywisty właściciel.

Biblia... w odcinku

„Sunday Express” najbardziej rozpowszechniona niedzielną gazetą w Anglii, wydawaną w ilości powyżej 2 milionów egzemplarzy, przystąpiła do drukowania... Biblii, która ma zastąpić w gazecie powieść.

W odezwie do czytelników redakcja w następujący sposób tłumaczy przyczynę tej bądż co bądź niecodziennej próby: „My wszyscy, oczywiście, czytaliśmy Biblię; niektóre ustępy jej nawet umiemy na pamięć; cytaty z niej często słyszymy. Lecz dokładnej znajomości tego wyjątkowego dokumentu literackiego, z jego głęboką dramatycznością, przepiękną poezją i niezrównaną prozą, nie posiadamy.”

Tekst Biblii drukowany w „Sunday Express” wzięty jest z „literackiego” wydania Heinemana.

Wydanie to przedstawia tekst Biblii w wersji uznanej przez kościół, jednak we współczesnej formie literackiej. Jest to całość bez podziału na rozdziały, wiersze i paragrafy. Poza tym niema w tym wydaniu pewnych drobnych szczegółów, jak np. ciągłego powtarzania się genealogii i t. p.

Biblia drukowana będzie w każdym numerze gazety i zajmie dwie pełne kolumny.

Medale dla zwierząt

Japońskie ministerstwo wojny nagrodziło w ubiegłym tygodniu medalami ośmiem koni, dziesięć gołębi i dwa psy, znajdujące się na służbie w kwantuńskiej armii, działającej na terenie Mandżurii. Jeden z nagrodzonych psów wysyłany był z jednego oddziału do drugiego w czasie straszliwej walki z bandytami. Nie bacząc na to, że w czasie strzelaniny pies został ranny w łeb, udało mu się dobiec do miejsca przeznaczenia.

Drugi pies, znowuż, towarzyszył nocą oddziałowi udającemu się na wywiad i odkrył zasadzkę nieprzyjacielską. Napadł na bandytów i dał możność patrolowi przygotować się do spotkania z wrogiem.

Książki mówiące

W Londynie utworzyło się towarzystwo z kapitałem zakładowym półtora miliona funtów, które ma zamiar zająć się produkcją „mówiących książek”. Wstępne doświadczenia uzyskały znakomite wyniki i teraz cała praca polega jedynie na uzyskaniu od autorów praw eksploatacji pewnych utworów literackich.

„Mówiące książki” produkuje się podobnie jak filmy mówione. Każdy ustęp książki uplastycznia się na specjalnej przezroczystej taśmie z niepalnego materiału. Kupujący taśmę przepuszcza ją przez specjalny aparat, który na zewnątrz przypomina radioaparat.

Kiedy maszyna ta zaczyna działać, taśma porusza się przed płytką wrażliwą na światło, i promień światła zamienia taśmę w dźwięk.

(L—y)

KINO

PALLADIUM —

„GDY KWITNĄ BZY”.

Na ulicy pada śnieg pomieszany z deszczem, a na ekranie pada śnieg kwieciami akacji i bzu. Na tle tych kwitnących brzoź rozgrywają się smutne dzieje miłości, która przyszła zbyt późno, dzieje konfliktu twórczej ambicji z osobistym szczęściem, dzieje walki pomiędzy głosem obowiązku i wdzięczności, a głosem serca. Stare są to dzieje, a film „Gdy kwitną bzy”, oparty na fabule operetki, nie dodał do nich nic nowego.

Watorów tego filmu szukać raczej należy w jego elementach muzyczno - wokalnych: jest to typowy film - operetka. Piękny głos i duży wdzięk Jeanetty Mac Donald sprawia, że ogląda się go albo raczej słucha, z dużą przyjemnością. Nelson Eddy jest może dobrym barytonem, ale pod żadnym względem nie dorównywa swej uroczej partnerce. Gra jego nie pozostawia sympatycznego wrażenia.

Technika filmu dobra, fotografia przejrzysta. Dobrze zwłaszcza wypadły obrazy, ilustrujące w skrócie 7 lat zawrotnej kariery śpiewaczki.

*

Nad program dano ciekawą interpretację filmową trzech etud Chopina, reżyserii Cekalskiego. Próba połączenia muzyki z futurystycznymi efektami optycznymi — z gruntu się nie udało. Natomiast dobrze wypadło szarmonizowanie muzyki z tańcem Olgi Sławskiej i z rytmem przyrody.

TEATR „NOWOŚCI”, Bielańska 5

Tel. 340-55 dyr. 285-86 kasa

Żydowska

Scena Narodowa

Codziennie punkt. 8.45

WALKA O ZIEMIĘ

M. ROSTA

Reżyseria: SULAMIT BATDORY

Bilety w kasie Teatru od godz. 11—2 i od

Dr. med. M. SALAMON

wszelkie analizy lekarskie

Obecny adres: Warszawa, Leszno 28 (róg Karmelickiej) tel. 11.54-92.

J. Ernicz-Homańska

Z koncertów filharmonicznych

Ostatnie koncerty filharmoniczne odbyły się pod znakiem wyraźnej przewagi fortepianu. Solistami czterech kolejno piątkowych koncertów symfonicznych byli pianiści.

Emil Sauer, jeden z ostatnich żyjących uczniów Liszta, wnosi ze sobą na estradę atmosferę minionej epoki.

Interpretację Sautera pełna jest życia i zapału; nie ma tu śladu jakiegos znużenia czy zblazowania, tak często spotykanego u młodszych od Sautera, dzisiejszych pianistów, znużonych ustawicznym powtarzaniem na estradzie utworów mało wartościowych, które zasobem treści nie są zdolne rozgrzać ani wykonawcy ani słuchacza. Utwory takie są przecież stale wykonywane w imię zdobycia przychylności autora, czy pewnej „kliki”, która za to pomaga wykonawcy do wybicia się na szerszym terenie.

Dzieje się to od szeregu lat nie tylko u nas, ale w całym świecie muzycznym. Napozór, zwłaszcza dla krótkowzrocznych, wszystko jest w porządku; na dalszą metę jednak taka polityka „towarzystw wzajemnej adoracji” prowadzi wręcz do ogólnej katastrofy: odstrasza publiczność od muzyki. A główni winowajcy, t. j. ci, co popierają się wzajemnie ze względu na własny interes, nie bacząc na istotne obiektywne wartości artystyczne — chętnie zwalają winę na „niemuzykalność” dzisiejszego społeczeństwa.

Wielcy artyści nie potrzebują poparcia „małych” kompozytorów dzisiejszych, nie potrzebują symulować zachwyty nad tym, co w ich istotnym pojęciu jest mało — lub bezwartościowe. Grają to, co im dogadza, to w czym się lubują — dlatego ich entuzjazm odtworczy pozostaje zawsze żywo i przemawia do słuchacza nawet za pośrednictwem dzieł, które obiektywnie biorąc, mogłyby się wydać mniej zajmujące.

W interpretacji Sautera, jego własny koncert fortepianowy, melodyjny i świadczący o wielkiej kulturze autora, acz stylistycznie zróżniony jeszcze z epoką romantyków, oraz koncert A-dur Liszta — jaśniały pełnym blaskiem watorów zarówno muzycznych jak i wirtuozowskich.

Niewątpliwie w innym wykonaniu te same dzieła nie wywarłyby tego efektu. Dyrigujący tym koncertem świetny kapelmistrz holenderski (z Amsterdamu) p. Edward van Beinum, wprowadził po raz pierwszy do repertuaru naszej Filharmonii symfonię swego rodaka Henk Badings'a, która potrafiła zainteresować o tyle, że chętnie posłuchałoby się jeszcze i innych utworów tego podobno b. płodnego, acz młodego, kompozytora.

Następnymi koncertami symfonicznymi dyrygowali: Godefroid Devreese, Jascha Horenstein i Lovro Matic.

Najmniej interesującym z tych trzech kapelmistrzów okazał się p. Devreese, który np. w symfonii A-dur Beethovena, ani technicznie, ani muzycznie nie wydzignął produkcji na poziom, na który nieraz w tym dziele zdobywała się orkiestra filharmoniczna pod innymi batutami.

Lepiej wypadła suita z baletu „Płomienny ptak” Strawińskiego i 2 fragmenty (aria i toceata) ze „suiity koncertowej” Bol. Woytowicza. Natomiast duże uchybienia dały się we znaki w akompaniamencie do koncertu fortepianowego c-moll Beethovena, w którym partię solową odegrała Meksykanka, p. Angelica Morales, uczennica Sautera, a jak głosi tajemnica poliszynela, młodziutka żona sędziwego mistrza.

Zbędne podkreślać, że na grze p. Morales znać świetną szkołę fortepianu. Ogólnie biorąc, miało się wrażenie, że bardzo niestety trudny w mechanice fortepian Steinwaga wielokrotnie przeszkadzał pianistce do swobodnego rozegrania się.

W przeciwieństwie do p. Dereese, Jascha Horenstein dysponuje pierwszorzędą techniką kapelmistrzowską, doкладnie wie czego chce od orkiestry i umie to osiągnąć. A jeśli nawet niekiedy daje znaki przesadne, to czyni to konsekwentnie, jak nauczyciel, który dla plastyczniejszego uwypuklenia uczniom swych intencji, umyślnie posługuje się przejaśkrawionymi argumentami, byle tylko dopomóc w zrozumieniu sedna rzeczy.

Wszystkie produkcje pod dyktando Horensteina, czy to Mendelssohnowska uvertura do „Snu nocy letniej”, czy IV-a symfonia Brahmsa, czy wreszcie świetnie zinstrumetowany, choć banalny „Walc” Ravela — stały na bardzo wysokim poziomie, mimo że orkiestra

filharmoniczna obecnie nie może być w najlepszej swej formie, wskutek licznych zmian personalnych, jakie zaszły ostatnio w jej składzie.

Solistka tego koncertu p. France Ellegaard, cieszy się w Warszawie ustaloną sympatią. Wdzięczna blondynka, ilekroć pojawi się na estradzie, zawsze witana jest owacyjnymi oklaskami.

Istotnie gra to wysoce estetyczna, wszechstronnie ogładzona i w dobrym smaku utrzymana; słowem salonowo — bez zarzutu. Kto jednak od muzyki oczekuje głębszych akcentów, potęgi dramatycznej lub owego t. zw. „łwiego pazura” — tego gra p. Ellegaard zadowolić nie może. Koncert D-dur Mozarta, grany ładnie, choć powierzchownie — nawet i w takiej interpretacji zachowuje wiele uroku. Natomiast koncert Es-dur Liszta, bez nieodczownego tu deklamacyjnego patosu, traci stylistycznie swą rację bytu, stając się tylko konglomeratem pustych efektów wirtuozowskich.

O wiele więcej bezpośredniości w wyrazie posiada p. Monique de la Bruchollierie, laureatka ostatniego konkursu chopinowskiego. Koncert A-dur Mozarta w jej wykonaniu tętni pełnią życia, nie tracąc nic na subtelności niuansów. „Wariacjami symfonicznymi” Francka, będącymi zawsze wdzięcznym polem popisu, pianistka również osiągnęła duży sukces.

Akompaniujący p. de la Bruchollierie, utalentowany i wytrawny kapelmistrz p. Lovro Matic, poprowadził w części orkiestrowej tegoż koncertu IV-ą symfonię („romantyczną”) Brucknera i „Bajkę o królownie Basi” Witolda Maliszewskiego.

Po raz pierwszy wykonany utwór Maliszewskiego, napisany jest w klasycznej formie tematu z 8-miu wariacjami na sopran solo z orkiestrą. Budowa zatem jest prosta i jasna. Maliszewski (uczeń Rmskiego-Korsakowa) muzyk o głębokiej wiedzy i znajomości orkiestracji, zinstrumetował „Bajkę” przejrzyście i lekko, dzięki czemu partia wokalna z łatwością wysuwa się na plan pierwszy, bez przymusu przekrzykiwania hałasu orkiestrowego, jak to często bywa u dzisiejszych kompozytorów.

Śpiewaczka p. Jadwiga Zwichrynowa w partii solowej wywiązała się bardzo dobrze ze swego niezmiernie trudnego zadania.

Obok wyżej wymienionych piątkowych koncertów symfonicznych, nie można pominąć milczeniem dwóch świetnych niedzielnych koncertów popołudniowych, na których wystąpiło dwoje skrzypków: Ida Hendłówna i Józef Szgeti.

Ida Hendłówna to istny fenomen swego rodzaju. Trudno wprost uwierzyć, że taki podłotek może grać koncert Brahmsa (z orkiestrą) z taką maestrią techniczną i z takim podejściem do muzyki tego kapitalnego arcydzieła, podejściem bez cienia sztuczności czy maniery. Jeśli talent p. Hendłówny nadal rozwijać się będzie po tej linii — a mamy nadzieję, że w produkcji obecnie świata szkole Flescha, w której p. Hendłówna się znajduje, nie zawiedzie oczekiwań — za kilka lat skrzypczka powinna zabłysnąć jako gwiazda pierwszorzędną na międzynarodowym terenie muzycznym.

Wspaniały skrzypek węgierski Józef Szgeti, oczarowuje słuchacza nie tylko wielkim okrągłym i bardzo dźwięcznym tonem (co częściowo zawdzięcza swemu wyjątkowo pięknemu Guarneriusowi) lecz przede wszystkim porywa ogniem wewnętrznym interpretacji i intensywnością przeżywania muzyki.

Daleka od suchych kanonów wykonawczych, interpretacja Szgeti'ego, nawet u klasyków, w Beethovenie (sonata c-moll), Bachu (preludium i gawot e-dur), skrzy si i mieni bujnym życiem, aby dla kontrastu w momentach lirycznych przenieść się w sferę niezmaconego spokoju (np. w „poème” Chausson'a). A ponieważ wszystko to jest szczerze, impulsywnie połyktowane nakazem chwili, słuchacz czuje się jakby orzeźwiony tym prądem świeżej energii, tryskającej ze źródła prawdziwego umiłowania dla sztuki, i nawet nie zauważa, gdy skrzypek w ferworze elokwencji odtworczej, czasami zbyt gorliwym szarpnięciem smyczka niezupełnie czysto trafi jakąś nutkę. Bo recital Szgeti'ego daje prawdziwie muzycznym słuchaczom o wiele więcej satysfakcji artystycznej, niż akademicka gra niejednego wirtuozu, która aczkolwiek jest bez zastrzeżeń, nie ma jednak wiele do powiedzenia, a stąd nudy i odbiera ludziom ochotę do częstego słuchania muzyki.